



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

nr 2/2015 (128)

Julia Kaczmarzyk

JESTEM JEJ CZĘŚCIĄ

Przeklęta metropolia, zaraza!
Pochłonęła mnie, pożarła.
Oddać nie ma zamiaru.
Trzyma mnie.

Widzę twe oczy – hipnotyzujące
Zamartwiające się w każdej deszczu kropli.
Nie płacz, moja mała ojczyzno!
Ja tylko moknę.

Pragnę poczuć twoją obecność.
Przyjemny wietrzyk ujął mnie swą łagodnością
Śpiew ptasi unosi się lekkością.
Kroki twe jako dzicze tropy, zajęcze skoki.

Odbicie ojczyzny mej w wodach Liswarty.
Towarzysze dziecięcych zabaw – ważki, żabki
Nie odchodzą
Pozostają wciąż blisko.

Unosi się tytoniu woń.
Jak sprzed dwustu wiosen.
Wiosny te ukazuje twa toń.
Bliska jest ziemia rodzinna ma.

Wiosną zieleńsza od żab
Latem złota od kłosów zbóż.
Jesienią na głowie matki- natury rudość króluje.
Zimą skuta śniegiem i lodem – biała.

Ciaśnieńska Ziemia!
Jestem jej częścią.
Ona we mnie trwa.



Jasna Góra – historia Sanktuarium



HISTORIA SANKTUARIUM

Założenie klasztoru Paulinów na Jasnej Górze związane jest z Ludwikiem Andegaweńskim, królem węgierskim i polskim (1370–1382) oraz jego krewnym – księciem Władysławem Opolczykiem. W czerwcu 1382 roku do Częstochowy przybyła grupa kilkunastu zakonników z zakonu św. Pawła. Osiedli się oni na wzgórzu jasnogórskim, obejmując również w posiadanie drewniany kościółek pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Uroczystej fundacji dokonał książę Władysław Opolczyk w dniu 9 sierpnia 1382 roku. Król Polski Władysław Jagiełło (1386–1434) 24 lutego 1393 roku dokonał nowej fundacji celem zapewnienia utrzymania dla większej liczby zakonników.

Nazwę Jasna Góra kojarzono początkowo z białymi wapiennymi skałami. W dokumencie z 1388 roku pojawiło się określenie Jasna Góra (*Clarus Mons*), którą nadali wzgórzu paulini przybyli z Węgier, z klasztoru na Jasnej Górze w Budzie (*In Claro Monte Budensi*).

Źródła historyczne podają, iż Cudowny Obraz Matki Bożej, podarowany paulinom przez zarządcę Rusi ks. Władysława Opolczyka, przybył na Jasną Górę z Bełza 31 sierpnia 1384 roku.

Dnia 14 kwietnia 1430 roku dokonano napadu na klasztor,



zrabowano ozdoby i wota dziękczynne oraz bardzo znacznie uszkodzono obraz.

Jeszcze w 1430 r. z rozkazu króla Jagiełły obraz przewieziono do Krakowa celem dokonania naprawy. Nie mogąc uzupełnić farbami uszkodzonych fragmentów na oryginalnej desce namalowano wierną kopię, która do dzisiaj jest wizerunkiem Matki Bożej Jasnogórskiej.

W 1434 r. odnowiony i ozdobiony obraz na polecenie Władysława Jagiełły o przeniesiono w uroczystej pielgrzymce z Krakowa na Jasną Górę. W II połowie XV wieku rozpoczęto budowę wielkiego kościoła o trzech nawach. Aby zabezpieczyć klasztor, za panowania króla Zygmunta III Wazy wykonano plany fortyfikacyjne i prowizorycznie zrealizowano. Właściwą budowę murów ukończono za czasów króla Władysława IV w latach 1632–48.

Dramatyczne chwile przeżył klasztor jasnogórski podczas „potopu szwedzkiego” w 1655 roku, gdy wojska Karola X Gustawa pod dowództwem generała Wittenberga 18 listopada stanęły pod murami Jasnej Góry. Ostrzeliwana z trzech stron twierdza broniła się skutecznie, aż do 26 grudnia, gdy szwedzkie wojska opuściły Jasną Górę. Obroną Jasnej Góry kierował przeor klasztoru ojciec Augustyn Kordecki. Zwycięstwo obrońców przypisano wstawiennictwu i opiece Matki Najświętszej, której obraz celem zabezpieczenia wywieziono wcześniej na Śląsk.

W roku 1656 król Jan Kazimierz złożył uroczyste ślubowanie obierając Maryję patronką państwa i nadając Jej tytuł Matki Bożej Królowej Polski. Dnia 8 września 1717 roku odbyła się koronacja Cudownego Obrazu. W XVII i XVIII twierdza jasnogórska była rozbudowywana i fortyfikowana. W 1680 r. wybudowano m. in. zbrojownię, tzw. arsenał.

W okresie rozbiorów od 1795 r. Jasna Góra była ośrodkiem moralnego i patriotycznego trwania narodu. W 1813 r. wojska moskiewskie zajęły Jasną Górę, a car Aleksander I nakazał zburzyć fortyfikacyjne mury. Po 1843 roku mury odbudowano na nowo za zgodą cara Mikołaja I.

W 1864 r. car Aleksander II zlikwidował większość klasztorów w Polsce, lecz oszczędził jasnogórski. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. klasztor rozpoczął pełną działalność stając się duchową stolicą Polski, a wkrótce nastąpiła ponowna uroczysta koronacja Wizerunku Matki Bożej.

Podczas I wojny światowej Sanktuarium nie ucierpiało. Wraz z wybuchem II wojny światowej nastąpił ciężki okres, zakazano zbiorowych pielgrzymek. Gdy 16 stycznia 1945 r. wojska niemieckie opuściły Częstochowę, rozpoczął się nowy etap w dziejach Jasnej Góry. Liczne pielgrzymki, święta i uroczystości gromadziły tłumy wiernych.

W 1966 r. z okazji tysiąclecia chrześcijaństwa, prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński z ówczesnym metropolitą krakowskim – księdzem arcybiskupem Karolem Wojtyłą, ozdobił Obraz koronami milenijnymi.

Bogusław Hrycyk • CD. NA STR. 3

JASNA GÓRA CD.

Papież Jan Paweł II kilkakrotnie odwiedzał Sanktuarium na Jasnej Górze (1979, 1983, 1987), gdzie złożył cenne dary wotywne.

CUDOWNY OBRAZ

Cudowny Wizerunek Matki Bożej jest największym skarbem Jasnej Góry. Mimo, że w Sanktuarium na Jasnej Górze nigdy nie odnotowano żadnych objawień Maryjnych, to Jej Cudowny Obraz swoją siłą i tajemnicą przez wieki przyciągał pielgrzymów. Ikona zalicza się do typu przedstawień określanych w greckim języku mianem *Hodegetrii*. Nazwa ta oznacza Przewodniczkę „Tę, która prowadzi”.

O początkach Obrazu i jego dziejach do 1382 r., nie posiadamy pewnych i ścisłych wiadomości historycznych. Legenda głosi, że obraz namalował św. Łukasz Ewangelista jeszcze za życia Maryi, na płycie stołu używanego przez Świętą Rodzinę w Nazarecie.

Prawdopodobnie w IV wieku matka cesarza Konstantyna Wielkiego św. Helena przewiozła ikonę z okolic Jerozolimy do Konstantynopola, będącego stolicą Cesarstwa Bizantyjskiego. Około X wieku za sprawą księcia ruskiego dotarła do zamku Bełzie, na północny wschód od Lwowa.

Obraz o wymiarach 121,8 cm na 81,3 cm przedstawia Najświętszą Maryję Pannę w postawie stojącej, w półpostaci z Dzieciątkiem Jezus na ręku. Dzieciątko w lewej ręce trzyma księgę, prawą unosi ku górze w geście błogosławieństwa. Prawa ręka Maryi spoczywa na piersi, wskazując Jezusa. Ze względu na ciemną karnację twarzy Matka Boża bywa nazywana „Czarną Madonną”.

W 1430 roku w trakcie napadu rabunkowego znacznie uszkodzono obraz, który został pocięty szabłą i poważnie zniszczony. Odnaleziony, obok źródła przy dzisiejszym kościele św. Barbary, w latach 1430–34 obraz odrestaurowano z polecenia króla Władysława Jagiełły, przemaalowując wizerunek na oryginalnej desce. Trwałym śladem zniszczenia obrazu są blizny na twarzy Matki Bożej.

Po lewej stronie wizerunku znajdują się insygnia Matki Bożej Królowej Polski oraz berło i jabłko wykonane w 1926 r. Po prawej: złota róża i złote wotum w kształcie serca z napisem „TOTUS TUUS”, przekazane przez Ojca Świętego Jana Pawła II. Obraz Matki Bożej zakrywa przekazana przez Ojca Świętego Jana Pawła II srebrna zasuwa z 1723 r., którą otacza bordiura z 1763 r. Od II połowy XVII w. obraz zaczęto przyozdabiać sukienkami. Obecnie istnieje dziewięć sukienek.

Zmarły w 1480 r. Jan Długosz pisał: „Z całej Polski i krajów sąsiednich, mianowicie: Śląska, Moraw, Prus i Węgier, na uroczystość Maryi Świętej, której rzadki i nabożny obraz w tym miejscu się znajduje, zbiegał się lud pobożny dla zdumiewających cudów, jakie za przyczyną naszej Pani i Orędowniczki tu się dokonywały”.

KULT MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

Jasna Góra jest największym Sanktuarium religijnym w Polsce. Corocznie setki tysięcy wiernych z Polski i innych krajów pielgrzymują do będącej przedmiotem czci cudownej ikony Matki Boskiej trzymającej w ramionach Dzieciątka Jezus.

Obraz i częstochowskie Sanktuarium szybko stały się dla Polaków niezwykle ważnym miejscem kultu religijnego oraz miejscem manifestowania patriotyzmu i przywiązania do polskości.

W XIV-XV wieku Czarną Madonnę zaczęto nazywać Królową Polski i Patronką Narodu. W XV wieku liczne kopie

Spis treści

JASNA GÓRA – HISTORIA SANKTUARIUM	2
ŚP. MARIAN PRANDZIOCH (1953–2014)	4
TRAGEDIA GÓRNOŚLĄSKA W BYDŁĘCYCH WAGONACH NA WSCHÓD I ZACHÓD	5
LUBLINIECKIE ŚLADY KATYNIA, CHARKOWA, MIEDNOJE	6
KONRAD MAŃKA (1915–1942)	8
OSTATNI LIST KONRADA MAŃKI	9
GÓRNOŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY Z ZIEMI LUBLINIECKIEJ	10
ROZŚPIEWANY LUBLINITZ 1910 ROKU	14
HISTORIA LINII KOLEJOWEJ LUBLINIEC-FOSOWSKIE Z „PENDOLINO” W TLE	16
„RECHTORZY” NASZYCH PRAPRA... PRADZIADKÓW	18
TABLICE PAMIĄTKOWE ZIEMI LUBLINIECKIEJ (III)	19
DOBRA KSIĄŻKA POWINNA NIE TYLKO BAWIĆ, ALE TAKŻE UCZYĆ	20
„ZGODA BUDUJE, NIEZGODA RUJNUJE”	21
KOSZALIN I KRUSZWICA W KOCHANOWICACH, CZYLI PROMOCJA ALMANACHU PAPIESKIEGO „2 IV 2005”	22
„ZIEMIA LUBLINIECKA” W SINGAPURZE	23
LITERACKIE GRILLOWANIE W PAWEŁKACH	23
LUBLINIEC WCZORAJ I DZIŚ	24

obrazu wypełniały inne polskie kościoły i dwory. W XVII wieku narodził się obyczaj pieszych pielgrzymek do Sanktuarium. Najstarszą jest szlak pielgrzymki warszawskiej, przemierzany przez pątników od 1711 roku. W okresie rozbiorów mimo ciągłych ograniczeń tradycja odwiedzania Czarnej Madonny nie ustała.

Sanktuarium stało się także szczególnym miejscem opisywanym przez pisarzy i poetów. Cześć Maryi piórem oddali między innymi: Henryk Sienkiewicz, Władysław Stanisław Reymont, Cyprian Kamil Norwid.

Po II wojnie światowej prymas Stefan Wyszyński zamówił kopię obrazu, która w latach 1957–1966, odbyła uroczystą pielgrzymkę do wszystkich parafii w Polsce.

Sanktuarium Jasnogórskie rocznie odwiedza kilka milionów wiernych. W czasie świąt maryjnych: 15 sierpnia oraz 26 sierpnia, jednorazowo w Sanktuarium bywa do 500 tysięcy pątników.

Kult Matki Boskiej Częstochowskiej odegrał ogromną rolę dla religijności Polaków oraz życia Kościoła w Polsce.

Bogusław Hrycyk

Śp. Marian Prandzioch (1953–2014)

W dniu 20 VI 2014 r. rodzina, współpracownicy z LENTEXU, Miejskiego Domu Kultury z Lublińca, sąsiedzi, koledzy, znajomi oraz tłumy mieszkańców Kochanowic i Lublińca uczestniczyło w uroczystości pogrzebowej śp. Mariana Prandziocha. Mszę św. pogrzebową koncelebrowali księża proboszczowie z parafii Kochanowice, Lisów i Steblów. W wygłoszonej homilii ks. prob. Stefan Balcarek przypomniał sylwetkę zmarłego, jego pasję życia, jaką była fotografia i wiara w Boga.

Marian Prandzioch urodził się 22 III 1953 r. w Ostrowie k/Kochanowic. Z wykształcenia elektryk, pracował całe swoje życie zawodowe w zakładzie LENTEX na stanowisku zaopatrzeniowca ds. elektrycznych. Od młodych lat interesował się fotografią. Na przełomie lat 60 i 70-tych XX w. uczęszczał na zajęcia kółka fotograficznego w ówczesnym Powiatowym Domu Kultury. W 1974 roku został instruktorem kółka fotograficznego, a z nadejściem w latach 90-tych techniki wideo prowadził również zajęcia z techniki filmowania. W czasie swego życia wyszkolił wielu dobrych amatorów i profesjonalistów fotografii. Dorobkiem śp. Mariana są setki tysiące zdjęć wykonanych



Marian Prandzioch podczas uroczystości z okazji Roku Edyty Stein



na kliszach, a później w wersji cyfrowej, na których dokumentował życie mieszkańców Lublińca i okolic. Jego fotoreportaże utrwalały różnego rodzaju uroczystości polityczne, patriotyczne, społeczne, kulturalne i religijne miasta. Dzięki Jego talentowi możemy oglądać zdjęcia miasta na przestrzeni dziesiątków lat zamieszczane w różnych publikacjach: książkach, gazetach czy folderach.

Koleżeński, uczynny, pomimo swej małomówności



Marian Prandzioch -
fot. Barbara Jaźwińska

uśmiechnięty i skory do pomocy. W zakresie swych pasji zawsze służył swoją dobrą radą. Dzięki Niemu wielu lublińczan posiada w swych rodzinnych albumach zdjęcia od chrztu począwszy, poprzez I Komunię św, ślub, a na ostatniej drodze życia skończywszy. Wiele zdjęć i wideo reportaży poświęcił okolicznym kościołom. Należy wspomnieć, że dzięki śp. Marianowi wiele parafii ma wzbogacony zbiór zdjęć z uroczystości konsekracji kościoła. Podczas ubiegłorocznych obchodów 50-lecia Miejskiego Domu Kultury Marian Prandzioch za swoje osiągnięcia został odznaczony honorową odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” nadanej przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Śp. Marian Prandzioch do ostatnich chwil życia rejestrował życie społeczności lublinieckiej fotografując imprezy związane z Dniami Lublińca, podczas których zaśląbł. Po przewiezieniu do szpitala nazajutrz zmarł. Było to 16 VI 2014 r. Pochowany został na cmentarzu w Kochanowicach.

Pozostanie na zawsze w naszej wdzięcznej pamięci.

Andrzej Musioł

Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Redaktor naczelny: Bogusław Hrycyk; pismo redagowane przez Kolegium Redakcyjne w składzie: Kazimierz Bromer, Krzysztof Kanclerz, Marzena Koza, Jan Myrcik, Andrzej Musioł, Wojciech Poznański, Edward Przebieracz, Sebastian Ziółek

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7, tel. (34) 35-10-500, wew. 601, e-mail: gazeta@lubliniec.starostwo.gov.pl

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk; www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

Tragedia Górnos Śląska W bydłych wagonach na Wschód i Zachód

Szanowny Czytelniku, zapewnię Cię, że ten artykuł nie będzie ani za długi, ani za trudny dla Ciebie. Może po raz pierwszy dowiesz się o „Górnos Śląskiej Tragedii”. Ten artykuł nie nosi też w żadnym wypadku znamion jakiegokolwiek rozliczania „tego czasu” rozgrywającego się w 1945 roku i we wczesnych latach powojennych na naszej Lublinieckiej Ziemi. Przyświeca mi tylko jeden cel: PAMIĘĆ – prawda historyczna o dramacie, który niosła za sobą



straszna w skutkach II wojna światowa. Straszna w skutkach dla przymusowo wcielonych do Wehrmachtu i zabijanych na różnych frontach Górnos Ślązakach, a także dramatyczna dla licznej grupy ludności cywilnej, która straciła swoich bliskich, swoje domy i mienie i którą „wywieziono” w nieznaną – na Wschód do katorżniczej pracy w radzieckich kopalniach, skąd wielu nie wróciło do swych rodzin, i na Zachód, bo uznano Ich za niegodnych mieszkać na polskim – Górnym Śląsku, dodajmy na Ziemi, gdzie mieszkali przez wieki Ich przodkowie. Tym artykułem i tym problemem ośmielałam się zainteresować Czytelników, a szczególnie młodych, zdolnych lublinieckich historyków – znawców i badaczy naszych dziejów, którzy od pewnego czasu – ku mojej radości – zaistnieli także w gazecie powiatowej „Ziemia Lubliniecka”. Ten temat był także przedmiotem wieloletnich i licznych rozmów na posiedzeniach Redakcji „Ziemia Lubliniecka”, szczególnie z moimi rówieśnikami i przyjaciółmi pamiętającymi te dzieje z autopsji: Kazimierzem Bromerem i nieodżałowanej pamięci Gerardem Burkiem, ale na pisanie o tych „sprawach” było wtedy jeszcze za wcześnie. Nie chodzi mi dzisiaj o to, kto politycznie i personalnie „to zło” wówczas czynił, ale o to, dlaczego tych niewinnych ludzi po bandycku „łapano”, okradano i poniewierano? Warto po 70 latach od tej tragedii powiedzieć, czym były hale z betonowymi podłogami lublinieckiej „Śpineryji” – (Przędzalni), w których przetrzymywano w nieznośnych warunkach poszkodowanych przed dalszym transportem – już w bydłych wagonach – na „Zachód”. Wielu z wywożonych nie przeżyło tego „transportu”. Pochowano Ich m.in. we Wrocławiu i okolicy, także w Dreźnie i w innych miastach, gdzie miano ich osiedlić. Wielu uciekło „po drodze”, aby wrócić „na swoje”. A kiedy po tygodniach poniewierki wrócili, nie mieli już domów i mienia. Żyli w ukryciu u znajomych i krewnych. Niektórych ponownie łapano i jeszcze raz wysiedlono.

Od dawna, żeby nie powiedzieć „od zawsze” nurtował mnie – i nurtuje nadal – ten przemilczany i ukrywany z politycznych względów i z tych samych powodów niezbadany i niezapisany temat, ta kolejna w tragicznej historii

Ziemi Śląskiej „biała karta”, ten wczesny powojenny czas na polskim Górnym Śląsku, kiedy wojna się już skończyła, a u nas zaczynał się nowy etap nazwany przez poszkodowanych i historyków, a także przez niektórych polityków „Górnos Śląską tragedią”. Naturalnie nie mówię tu o szerokim, ogólnos Śląskim – a może należałoby powiedzieć – ogólnopolskim – aspekcie tego nieszczęścia, bo to jest zadanie raczej dla profesjonalistów. Ja myślę natomiast o Małej Ojczyźnie – Powiecie

Lublinieckim, a może o jeszcze mniejszych „Heimatach” – o Koszęcinie i gminie Koszęcin, a także o innych gminach Ziemi Lublinieckiej, których wielu mieszkańców dotknęła ta tragedia. Należę do nielicznego już dziś pokolenia ludzi, którzy pamiętają ten czas, którzy widzieli z bliska te ludzkie dramaty związane z „pozbywaniem się” wielu niewinnych Ślązaków, wywożąc Ich w bydłych wagonach właśnie na przysłowiowy Wschód i Zachód. W wielu moich publikacjach – z różnych względów – pomijałem ten „przedział czasowy” przesuując go na bliżej nieokreśloną przyszłość. Jednak obecnie, kiedy w Radzionkowie działa już Muzeum nazwane trochę umownie: „Centrum Dokumentacji Deportowanych Górnos Ślązaków” otwarte przy udziale prezydenta Rzeczypospolitej w dniu 14 lutego 2015 roku, myślę, że nadszedł czas, aby o powojennej tragedii obywateli Ziemi Lublinieckiej także wspomnieć i nazwać te dzieje „po imieniu”. A następnie urzędowo powiedzieć: *Przepraszamy Was niewinni Ślązacy, obywatele naszej Lublinieckiej Ziemi! Przepraszamy i ubolewamy nad Waszym nieszczęściem.* Koszęcin już to dawno uczynił. Na wniosek Komisji Historycznej powołanej z inicjatywy radnego Edwarda Wieczorka i kierowanej przez Niego, Rada Gminy Koszęcin w dniu 29. 12. 2008 roku podjęła następującą uchwałę: *Rada Gminy Koszęcin wyraża ubolewanie nad losem wszystkich ludzi, których dotknęło bezprawie komunistyczne za pośrednictwem aparatu bezpieczeństwa, polegające na wysiedleniu w 1945 roku grupy stałych mieszkańców Koszęcina do Niemiec. Ludzie ci utracili wówczas cały swój majątek trwały i ruchomy.*

Warto się pochylić – po 70 latach – nad nieszczęściem ludzi, którzy wiele musieli przetrześć podczas II wojny i po wojnie. Warto powiedzieć prawdę o strasznych doświadczeniach wojennych i powojennych ludzi mieszkających w Europie – Polakach, Żydach, Romach i tyłu innych. Trzeba także powiedzieć prawdę o Ślązakach, o Tragedii Górnos Śląskiej, która tak, czy inaczej, wcześniej czy później, ujrzy światło dzienne, bo „Naród, który traci pamięć przestaje być Narodem” – powiedział kiedyś J. Piłsudski A więc tylko prawda może nas wyzwolić.

Jan Myrcik

Lublinieckie ślady Katynia, Charkowa, Miednoje

17 września 2015 roku zostało uroczyste otwarte Muzeum Katyńskie. Mieści się ono na terenie Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Celem powstania muzeum jest uczczenie pamięci zamordowanych na Wschodzie polskich żołnierzy, policjantów, polskiej inteligencji.

Wszystko zaczęło się 17 września 1939 roku, kiedy to na bazie paktu Ribbentrop – Mołotow oraz załączonego do paktu tajnego protokołu, wojska sowieckie wkroczyły na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. Faktem tym zostały zaskoczone nawet najwyższe władze Polski, czego dowodem jest odezwa Marszałka Polski Rydza – Śmigłego, żeby z „Sowietami nie walczyć”. Dowódcy wkraczających wojsk sowieckich głosili, że idą na pomoc żołnierzom polskim w walce z niemieckim najeźdźcą. Lecz prawdziwe zamierzenia były odwrotne. Wziętych do niewoli polskich żołnierzy poddawano selekcjom. Wyłapywano przede wszystkim oficerów zawodowych, oficerów rezerwy. Duża część z nich walczyła w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. NKWD posiadało nazwiska oficerów biorących udział w tej wojnie. Oficerowie pozbywali się pagonów ze stopniem oficerskim, ukrywali dokumenty lub je wyrzucali. Wiadomo było, iż szeregowi żołnierze będą prędzej zwalniani z niewoli niż oficerowie. Jednakże nie zdawali sobie sprawy z perfidii Sowietów. Chcąc pokazać, jak to oni są dobrzy dla wziętych do niewoli żołnierzy, zapraszali ich na obiad, gdzie były położone sztuczki. Ktokolwiek jadł sztuczkami od razu był brany za inteligenta. Wiadomo przecież, że w II Rzeczypospolitej zastawy stołowe na wsi były rzeczą wprost niepojętą. Kolejnym etapem weryfikacji było sprawdzanie rąk. Ręce chłopca czy robotnika były spracowane. Niektórzy oficerowie specjalnie kaleczyli ręce, pocierając je o cegły czy inne materiały powodujące zranienia.

Lecz większość poddała się niewoli wierząc w przestrzeżenie przez Sowietów Konwencji Haskiej czy Genewskiej. Niestety, dla Stalina i jego kliki były to tylko zapisane kartki papieru, nic nie znaczące. Dlatego 5 marca 1940 szef NKWD Ławrientij Beria dał do podpisania Stalinowi rozkaz o likwidacji oficerów Wojska Polskiego, policjantów oraz przedstawicieli nauki i kultury. Stalin oczywiście bez wahania dokument podpisał. Uzasadnieniem wyroku było stwierdzenie, że są oni wrogami Rosji Sowieckiej i nie wykazują żadnej chęci współpracy, czy wręcz przejścia na stronę komunistów. Konkretnie zaś chodziło o wymordowanie ewentualnych wrogów, którzy w przyszłości mogli dowodzić wojskami w walce z Sowietami. Wszak w niewoli nie mogli przebywać wiecznie. W końcu mogły się o nich upomnieć rodziny poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, a w tym czasie Stalin jeszcze trochę się liczył z opinią międzynarodową. W roku 1945, kiedy zagarnął niemal pół Europy pod wpływem komunistów, stosował zasadę, że „zwycięzcy nikt nie sądzi”.

Problem mordu katyńskiego miał zostać również podniesiony przez prokuratora radzieckiego na procesie norymberskim. Lecz przez naciski Amerykanów oraz prokuratorów Wielkiej Brytanii, ten punkt oskarżenia został wykreślony. Dziś już wiadomo, że w roku 1943 zachodni i amerykańscy politycy wiedzieli, kto tego mordu dokonał. Lecz w interesie koalicji ze Związkiem Radzieckim sprawę zatuszowano i zakazano o niej mówić. Rosjanie posunęli się do takiego

cynizmu, że Sowiecka Komisja Specjalna pod przewodnictwem akademika Mikołaja Burdenki, mająca na celu dostarczenie dowodów na to, że katyńskiego zabójstwa polskich oficerów dokonali Niemcy, „wykryła” nawet, iż tego masowego mordu dokonała niemiecka jednostka wojskowa, oznaczona kryptonimem „Sztab 537 Batalionu Roboczego”. Pod komunikatem tejże komisji, w którym powyższy fakt stwierdzono, widnieją nawet podpisy metropolity Cerkwi Prawosławnej Mikołaja i znanego radzieckiego pisarza Aleksego Tołstoja. Przeprowadzono nawet pokazowe procesy żołnierzy tego batalionu, gdzie w Leningradzie 1946 roku skazano na śmierć 8 niemieckich żołnierzy, a w Smoleńsku w 1945 roku 7 żołnierzy. Oto znane nam nazwiska niesłusznie skazanych na śmierć żołnierzy niemieckich: Karl Hermann Struffling, Heinrich Remmlinger, Ernst Bohm, Eduard Sennenfeld, Herbard Janike, Erwin Skotki i Ernst Geherer. Do dnia dzisiejszego nie zostali zrehabilitowani.

Z powodu Katynia dwaj polscy pisarze musieli uciekać na zachód. Mowa tu o Józefie Mackiewicz i Ferdynandzie Goetlu. Głównym ich grzechem był udział jako świadków w pierwszej ekshumacji zwłok polskich oficerów wiośnią 1943 roku zamordowanych przez Sowietów. Obaj podjęli decyzję wyjazdu za zgodą dowództwa Armii Krajowej, któremu po powrocie złożyli odpowiednie sprawozdania.

Jest zrozumiałe, że po tak zwanym „wyzwoleniu” w 1945 roku obaj nie mieli czego szukać w Polsce. Toteż wybrali życie na emigracji. Goetel zmarł w 1960 roku, a Józef Mackiewicz w 1985 roku w Monachium. Tragizm życia emigracyjnego Goetla pogłębiał fakt, iż musiał Polskę opuścić sam. Jego żona, wraz z dwojgiem małych dzieci, pozostała w kraju. W ciągu ostatnich 15 lat życia nigdy ich już nie ujrzął.

Józef Mackiewicz był w lepszej sytuacji, bo udało mu się w 1944 roku umknąć przed „wyzwolicielską” Armią Czerwoną wraz z żoną Barbarą.

W szeregach 74 Górnoląskiego Pułku Piechoty w okresie międzywojennym służyło kilkuset oficerów, którzy otrzymywali przydział służby, następnie byli odkomenderowani do innych jednostek. Nie sposób na łamach tego artykułu napisać o wszystkich, choć wszyscy oni na to zasługują. Ale mogę powiedzieć, że ten temat jest w opracowaniu i być może w przyszłym roku ukaże się książka obrazująca losy wszystkich oficerów, którzy służyli w latach 1922–1939 w 74 GPP w Lublińcu. Informacje na temat ich losów, jak również służby w Wojsku Polskim w okresie międzywojennym są odnajdywane w Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie, Instytucie Sikorskiego w Londynie, Instytucie Marszałka Piłsudskiego w Nowym Jorku oraz w Centralnym Archiwum Wojskowym. Materiałów jest już sporo, lecz jeszcze czekam, ponieważ procedura otrzymania materiałów z archiwów zagranicznych jest dość zawiła i czasochłonna.

Ale jak mówi porzekadło, cierpliwi bywają nagrodzeni. Bardzo mi zależy, aby mieszkańcy naszego miasta dowiedzieli się, jakie były losy żołnierzy służących w naszym mieście, aby pamięć o nich nigdy nie zginęła. Może w przyszłości będzie możliwość postawienia obelisku poświęconego ich ofierze złożonej na ołtarzu Ojczyzny?

W artykule pragnę przedstawić historię dwóch oficerów 74 GPP, których śmierć nie została do dziś wyjaśniona.

Marian Berbesz • CD. NA STR. 7

LUBLINIECKIE ŚLADY CD.

Są to: major Dyonizy Tustanowski oraz porucznik Antoni Grzybowski.

Major Dyonizy Tustanowski urodził się 23 maja 1889 roku w Zaleszczykach jako syn Piotra i Teodory z domu Kumanowska.

W roku 1923 w stopniu kapitana pełnił funkcję p.o. Komendanta Kadry Batalionu Zapasowego. W roku 1924, już w stopniu majora, został kwatermistrzem pułku.

Figuruje w spisie oficerów 74 PP na rok 1925 w stopniu majora. Odznaczony został „Krzyżem Walecznych” za udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku.

Według zachowanego zdjęcia służył w 49 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w Kołomyi. Najprawdopodobniej służył w nim aż do czasu przejścia na emeryturę.



Major Tustanowski w mundurze oficera 49 PP. Na piersi widoczny Krzyż Walecznych, przyznany za udział w wojnie 1920 roku.

Postanowienie podpisał sędzia ś.G. Władysław Grabowski.

W świetle nowych możliwości są czynione poszukiwania co do losów majora Tustanowskiego. Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa 74 GPP” wystosowała do IPN Warszawa, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie oraz do Muzeum Katyńskiego pisma z prośbą o pomoc w odszukaniu jakichkolwiek wiadomości dotyczących majora Tustanowskiego, jego pobytu w sowieckim więzieniu oraz o ewentualnej przyczynie jego śmierci.



Zdjęcie grobu Gertrudy Tustanowskiej, żony majora Dyonizego Tustanowskiego.

Po przejściu na zasłużoną emeryturę zamieszkał w rodzinnych Zaleszczykach. Tam zastała go wojna. Po wkroczeniu Sowieców został aresztowany i wywieziony w głąb Rosji. Rodzina nie otrzymała żadnej informacji o jego losie. Według niepotwierdzonych wiadomości poniósł śmierć w więzieniu w Starobielsku w 1941 roku.

Według postanowienia Sądu Grodzkiego z Lublińca z 7 stycznia 1948 roku, na wniosek żony Gertrudy, majora Tustanowskiego uznano jako zmarłego z dniem 9 maja 1947 roku w zgodzie z obowiązującą wówczas ustawą. Postanowienie podpisał sędzia ś.G. Władysław Grabowski.

Żona majora Tustanowskiego Gertruda Tustanowska zamieszkała po wojnie w Koszęcinie. Zmarła w 1977 roku i jest pochowana na Cmentarzu Parafialnym w Lublińcu.

Drugim oficerem zaginionym na Wschodzie jest porucznik Antoni Grzybowski. Urodził się 9 stycznia 1897 roku w Kamieńcu Podolskim jako syn Aleksandra i Katarzyny z domu Skapska. Służył w armii rosyjskiej w latach 1916–1917.

6 września 1919 roku otrzymał legitymację, która potwierdziła, że chorąży Grzybowski Antoni jest

oficerem armii polskiej i pozostaje w szkole oficerskiej. 16 grudnia 1921 roku Komisja Likwidacyjna ds. byłych żołnierzy Wojska Polskiego na Syberii, stwierdziła, że Antoni Grzybowski służył od 15 listopada 1918 do 10 stycznia 1920 roku, a następnie przebywał w niewoli sowieckiej, skąd powrócił do kraju. Otrzymał pamiątkową odznakę byłych Wojsk Polskich we wschodniej Rosji (na Syberii)

W 74 PP w Lublińcu służył w latach 1928–1936. Następnie przeszedł na emeryturę. Aresztowany w marcu



Zdjęcie porucznika Antoniego Grzybowskiego.



Pamiątkowa odznaka byłych Wojsk Polskich na wschodzie Rosji.



Legitymacja nadania honorowej odznaki.

1940 roku przez NKWD został przewieziony do więzienia w Charkowie i tam najprawdopodobniej rozstrzelany.

Według dokumentu Fundacji NON OMNIS MORIAR z Łodzi w liście z dnia 30 marca 2003 roku, skierowanym do córki porucznika Grzybowskiego Janiny Nahalewicz, zamieszkałej w Gliwicach, podano, iż poszukiwany najpierw był

Marian Berbesz • CD. NA STR. 8



Konrad Mańka (1915–1942)

PATRON SPECJALNEGO OŚRODKA SZKOLNO-WYCHOWAWCZEGO W LUBLIŃCU

Konrad Mańka urodził się 2 maja 1915 roku w Dobrodzieniu, w rodzinie robotniczej. W 1922 roku, wraz z rodzicami, przeprowadził się do Lublińca, gdzie jego ojciec otrzymał pracę woźnego w sądzie. W Lublińcu ukończył szkołę podstawową oraz uzyskał dyplom czeladnika stolarstwa. Od wczesnych lat szkolnych należał do harcerstwa pełniąc funkcję m.in. zastępowego i drużynowego. Był członkiem lublinieckiej komendy hufca. Organizował biwaki, obozy i wycieczki harcerskie. W 1934 roku podjął pracę w Centrali Dostaw Harcerskich w Krakowie. W kwietniu 1935 roku Konrad Mańka wrócił do Lublińca, gdzie podjął pracę jako stolarz w nowo otwartym Śląskim Zakładzie dla Głuchoniemych w Lublińcu. W 1938 roku powołany został do zasadniczej służby wojskowej. Pełnił ją w kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego w Warszawie przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej Ignacym Mościckim. Po wybuchu II wojny światowej, wraz ze swoją jednostką wojskową, brał udział w obronie Warszawy.

Dostał się do niewoli niemieckiej, z której wkrótce udało mu się zbiec. Wrócił do Lublińca, gdzie podjął działalność konspiracyjną. W dniu 18 grudnia 1940 roku Konrad Mańka został aresztowany przez Gestapo – tajną policję hitlerowskich Niemiec, która w sposób bezwzględny zwalczała wszelkie przejawy oporu. Został osadzony w więzieniu w Katowicach. Oskarżono go o przynależność do polskiej, tajnej organizacji patriotycznej, mającej na celu oderwanie Śląska od III Rzeszy Niemieckiej oraz udział w ruchu oporu przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. W procesie sądowym Konrada Mańkę skazano na karę śmierci. Wyrok został wykonany, poprzez ścięcie, w dniu 14 lipca 1942 roku.



Hitlerowscy oprawcy nie wydali ciała rodzinie. Stąd Jego ostatnia wola, wyrażona w liście napisanym na kilka godzin przed ścięciem do Rodziców i swoich najdroższych, by jego prochy zostały złożone na cmentarzu w Lublińcu nie została spełniona. Jego miejsce wiecznego spoczynku jest nieznane. W hołdzie polskiemu patriocie Konradowi Mańce, w uznaniu wielkich zasług dla Ojczyzny, lubliniecki rynek miejski w 1945 roku nazwany został jego imieniem. Od 1960 roku Konrad Mańka był Patronem Państwowego Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Głuchych w Lublińcu, a następnie, po zmianie nazwy, Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego

nr 1 dla Nieśłyszących i Słabosłyszących. W czterdziestą rocznicę jego śmierci, na frontonie domu przy ulicy Dąbrowskiej w Lublińcu, w którym mieszkał w latach 1939–1940, została odsłonięta 1 września 1982 r. okolicznościowa tablica. Konrad Mańka w wyniku głosowania przeprowadzonego na przełomie maja/czerwca 2014 roku został wybrany przez społeczność Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Lublińcu na Patrona. Nadanie imienia Konrada Mańki i prawa posiadania sztandaru jest ważnym momentem w historii Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Lublińcu.

K. Ziótek

LUBLINIECKIE ŚLADY CD.

osadzony w więzieniu w Zambrowie, następnie przewieziony do więzienia w Równem i transportem tranzytowym odesłany do Charkowa. 10 sierpnia 1949 roku znajdował się w więzieniu w Kijowie, gdzie został zamordowany w środę 21 sierpnia 1940 roku. Przed świtem jego ciało przewieziono do odległej o 22 kilometry Bykowni i pogrzebano wraz z 30 kolegami w grobie oznaczonym D34. Na tą chwilę oczekujemy na potwierdzenie powyższych danych.

Nie sposób w tych kilku słowach opisać tragedii rodzin, których bliscy zginęli na Wschodzie. Najgorsze jest to, że przez prawie 45 lat zakłamywano prawdę, a samo mówienie o prawdziwych wydarzeniach groziło represjami ze strony władz komunistycznych. Na co te władze liczyły? Że wszystko pójdzie w niepamięć?

Może opierali się na słowach I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki, który powiedział, „że raz zdobytej władzy nie oddamy nigdy”?

Dzisiaj odzywają się głosy pomordowanych w Katyniu, Charkowie, Miednoje, Bykowni i z innych nieznanych nam miejsc, gdzie dokonywało mordów NKWD.

Rosja do dnia dzisiejszego nie rozliczyła się z dokonanymi mordami. Chce to uznać jako mord wojenny. Lecz czy w 1939 roku Polska wypowiedziała wojnę Rosji Sowieckiej? Nie. To był jednostronny akt agresji. Przyznanie się do ludobójstwa nie nastąpi nigdy, ponieważ wtedy by byli porównywani do nazistów, a tak szczerze mówiąc niewiele się od nich różnili. W okresie powojennym krążyło powiedzenie, że Hitler był nieudolnym uczniem Stalina. I coś w tym jest.

Największy kat polskich oficerów Wasilij Błochin nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby nawet dziś przeprowadzić śledztwo i wydać wyrok skazujący Błochina. Lecz Rosjanie uważają, że sprawa uległa przedawnieniu. Nie chodzi tu o ukaranie, lecz o sprawiedliwość historyczną. Zamordowani nie żyją, mordercy również już nie żyją, lecz pozostaje głos pomordowanych, domagający z grobowych dołów sprawiedliwości.

Wielkie pole do popisu ma tutaj MSZ Rzeczypospolitej, lecz w obecnej dobie napięć w obustronnych stosunkach, temat jest wielce niewygodny. Miejmy nadzieję, że nadejście lepszy czas i sprawiedliwości stanie się zadość.

Marian Berbesz

Ostatni list Konrada Mańki

W czasie ostatniej wojny wielu Polaków musiało znośić niesprawiedliwe wyroki bezbożników. Jedną z takich osób był śp. Konrad Mańka, syn ludu polskiego, wychowywany w Lublińcu na Górnym Śląsku. Konrad Mańka już od samej młodości pokochał prawość, uczciwość, sprawiedliwość. Jego uczciwa i lojalna postawa wobec Boga i narodu polskiego nie spodobała się okupantowi. Na podstawie nieuczciwych zeznań niektórych ludzi (wśród których znalazł się również kolega Konrada Mańki B. Józek) młody Konrad dostał się w bezlitosne ręce śledcze Gestapo. W więzieniu okrutne śledztwo trwało długo. Kilka miesięcy Konrad był męczony, ciągle bity przez oprawców. Jego ciałem było jakby jednym wielkim sińcem. Oprawców szczególnie musiało razić nieugiętość ofiary, stałość charakteru i wytrwałość

w dobrym. W czasie śledztwa domagano się od Niego wydania innych patriotów i odstępstwa od najwyższych ideałów. Konrad pozostał nieugięty, ale za tę bohaterską postawę czekał go wyrok śmierci. Gdyby tam, gdzieś w Katowicach albo w Lublińcu, udało się odnaleźć ten tajny akt oskarżenia, to mielibyśmy oczywisty dowód wielu cnót K. Mańki, które wprowadzie przez bezbożnych oskarżycieli zostały nazwane zbrodnią, ale w rzeczywistości były to prawdziwe cnoty miłości Boga i bliźniego. Nawet gdyby te tajne akta oskarżenia nie odnalazły się, to na szczęście żyje jeszcze dużo naczynych świadków, którzy mogą zaświadczyć o wzniosłych przekonaniach i pięknym postępowaniu Konrada.

Zachował się piękny list przedśmiertelny, który z szacunku do śp. Konrada Mańki przedrukowujemy w całości:

Katowice, 14.VII.1942.

(po północy)

Moi Najdrożsi w Chrystusie!

Gdy ten list dostanie się do waszych rąk nie będę już na tym świecie, dziś o godz. 5.30 zostałem ścięty. Życia mam tylko jeszcze niecałe pięć godzin; muszę je oddać w takim młodym wieku. Przykre, ale niestety prawdziwe.

Mateczko i Ojcie! Bądźcie silni i przyjmijcie mężnie ten cios, który Was spotyka, nie rozpaczajcie, ja jestem zrównoważony – silny, oddam życie jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Dziękuję Wam za Wasze ostatnie błogosławieństwo, które mi posłałście w liście Waszym.

Pojednałem się z Bogiem i o 4.30 przyjmę jeszcze Komunię świętą do serca, które o 5.30 bić przestanie. Żałuję, że nie mogłem się jeszcze z Wami pożegnać, ale tak widocznie chce Pan Bóg. Wziąłem na siebie wielki ciężar, ale tego wymaga ode mnie mój obowiązek, wybaczam wszystkim, którzy mi dopomogli do tego wyroku, także Józskowi, aby mnie także Pan Bóg wybaczył. Chrystus Pan kazał także wrogom wybaczać. Oby mnie Pan Bóg raczył przyjąć w swoje szeregi, gdy jeszcze dziś znajdę się przed Jego Obliczem.

Zgłoście się po moje rzeczy tu we więzieniu w Katowicach i po pieniądze, których tu mam 77 marek i parę fenigów. Niech Wam Pan Bóg wynagrodzi wszystkie trudy, któreście położyli w moim życiu dla mnie. Oby Wam także Pan Bóg zwrócił Pietra i Lenę.

Kochane Siostrzyczki! Do Was także zwracam się w mojej godzinie śmierci. Pilnujcie, strzeżcie Mateczkę i Ojca, jak oka w głowie. Na Was spadał ten obowiązek opieki nad nimi, pocieszajcie ich, kochajcie ich, pracujcie dla nich z całych sił Waszych, ja niestety muszę odejść. Szczególnie Ty kochana Trudo! Milko! Maryśko! Waszym zaś obowiązkiem kochana Jadziu i Aniulu jest słuchać dobrych ich rad – a co najważniejsze nie zapominajcie o Bogu! Kto Boga ma w sercu temu umierać nie ciężko.

Przesyłam moje ostatnie pozdrowienie wszystkim moim Krewnym i Przyjaciołom; myślę o wszystkich.

Moje prochy proszę złożyć na cmentarzu w Lublińcu. Co do moich prywatnych rzeczy, ubrań moich osobistych i pamiątek, to róbcie jak uważanie za stosowne, ja do Was więcej nie wrócę, spotkamy się wszyscy w niebie. Wasz smutek oddajcie w ręce Boga i Maryi! W godzinie mojej śmierci jestem myślami przy Was. Odchodzę z tego świata z czystym umieniem. Wspomnijcie mnie czasem także w modlitwie, aby ta droga, którą mam przed sobą nie była mi ciężka. Wierzę i ufam mocno, św. Józef będzie przy mnie przy spotkaniu. Nie splamiłem swoich rąk żadną zbrodnią, największym szczęściem jest umierać za swoich dawnych przyjaciół, a więc otrzyście łzy i głowa do góry.

Przebaczcie mi wszystko, jeżeli Was kiedykolwiek skrzywdziłem lub obraziłem; ja Was mimo wszystko kochałem z całego serca i duszy. Będę prosił Pana Boga by Wam te stare lata ośłodził. Przyjmijcie z godnością i dumą ten krzyż na Was nałożony.

Ja wkraczam w nowe życie. O Boże, przyjm moją duszę w Twoje ręce!

Ufajcie Bogu! A więc z Panem Bogiem.

Wasz Konrad

Myśli tego listu są związane, jasne i wyraźne. Tajemnica jego spokoju i odwagi jest siłą zaczerpnięta z Wiary w Boga. Myśli tego listu są związane, jasne i wyraźne. Tajemnica spokoju i odwagi jego Autora zaczerpnięta jest z wiary w Boga Wszehmocnego.

Nic dziwnego, że lud polski ma wysoki szacunek do śp. Konrada. W Lublińcu jeden z placów nazywa się dzisiaj Placem Konrada Mańki. Śp. Konrad Mańka jest także patronem Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Lublińcu.

Oby życie i bohaterska śmierć Konrada Mańki utkwiły w naszej pamięci i posłużyły nam jako przykład do naśladowania.

Górnośląscy Teksańczycy z Ziemi Lublinieckiej

Ponad 160 lat temu (w roku 1853) ksiądz Leopold Moczygemba (1824–1891), franciszkanin pochodzący z Płużnicy Wielkiej w powiecie strzeleckim, rozpoczął akcję nakłaniania swoich ziomków do wyjazdu do Ameryki. Od 1852 r. był duszpasterzem w środowisku niemieckich emigrantów. Ojca Moczygembę zdumiało w Ameryce szybkie osiągnięcie życiowej stabilizacji przez przyjeżdżających Niemców, możliwości wzbogacania się i większe szanse na godniejszy poziom życia dla zwykłych ludzi, aniżeli w ówczesnej Europie. Ojcu



Kaspar Jesse Kasprzik i Maria Zieleńska - Teksańczycy z Molnej

Moczygembie wydawało się, że nieomal każdy, kto się tam wybrał, szybko uzyskiwał status średniozamożnego farmera, czy robotnika. Oszołomiony tym nieznanym europejskim chłopom zjawiskiem szybkiego awansu społecznego, słał zakonnik do ojczyzny entuzjastyczne listy zachęcające krewnych i ich znajomych do przyjazdu do Teksasu. Listy te znalazły niezwykle odzew na obszarze pięciu powiatów Górnego Śląska (Brożek, 1977: 19 i nast.).

Następstwem akcji franciszkanina był wyjazd w latach 1854–1870 kilkuset rodzin górnośląskich chłopów do Teksasu. Z tym, że główna fala wyjazdów miała miejsce w ciągu trzylecia 1854–1856. Emigranci ci założyli kilka osad, z których najstarsza jest Panna Maria w hrabstwie Karnes (zał. w grudniu 1854 r.). Są to okolice położone na południowy wschód od San Antonio, u ujścia rzeki Cibolo Creek do San Antonio River, około 85 mil od San Antonio. Okoliczności wyjazdu oraz dzieje małej społeczności Górnoślązaków w Nowym Świecie zaczęto przypominać w Polsce w latach sześćdziesiątych XX w. Wcześniej społeczność ta opisywana była w pamiętnikach, reportażach oraz relacjach i raportach urzędowych (zob. bibliografia). Kilkaset krótkich informacji biograficznych o wyjeżdżających wtedy Ślązakach zawierają dwie publikacje wydane w Opolu w latach 2004–2007: *Śląscy Teksańczycy. Emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1852–1859* i *Śląscy Teksańczycy II. Emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1853–1870*. Obydwa tomy wydano pierwotnie w USA w latach 1999 i 2004. Na język polski przetłumaczył je ksiądz Wojciech Reisch. Podejmowana niniejszym kolejna próba upowszechnienia owoców pracy tego szacownego grona jest chyba w pełni uzasadniona. A fakt, że byli wśród amerykańskich pionierów ludzie urodzeni na ziemi lublinieckiej, wręcz zobowiązuje do przypomnienia ich postaci w miejscu, skąd przed 160 laty wyruszyli na poszukiwanie szczęścia. Były to rodziny i pojedyncze osoby z Rzędowic, Boronowa, Sadowa, Koszęcina, Molnej, Sierakowa, Jeżowej, Główczy, Kolejki, Myśliny i Turzy. Wspomniane dwa tomy wymieniają z imienia i nazwiska 34 dorosłe osoby oraz wykazują 44 ich dzieci pochodzących lub mieszkających pierwotnie w granicach historycznych powiatu lublinieckiego (z okolicami Dobrodzienia).

U źródeł śląskiej emigracji leżały przede wszystkim czynniki ekonomiczne. Wystarczy tylko podać, że w latach pięćdziesiątych XIX w. akr ziemi (ok. 0,4 ha) kosztował w niektórych rejonach Teksasu 76 centów (1 hektar – 1,9 dolara). Inną jednak sprawą jest, że górnośląscy emigranci padli w kwestii ceny ziemi ofiarą sporego nadużycia. Jak podają badacze „nasi” kupili ziemię w Teksasie w cenie od 5 do 10 dolarów za akr! Podczas, gdy w hrabstwie Karnes, w 1858 r. 1 akr kosztował 1,47 dolara! Skaleć tego „postępuku” dodatkowo

może nam pokazać fakt, że cena akra ziemi w interesującym nas hrabstwie aż do 1895 r. oscylowała w okolicy dwóch dolarów (Lindsay T. Baker, 1979: 15–16)! W ten oto sposób Ślązacy poznali zasady „wolnej amerykanki” w biznesie.

Ale i tak była to o wiele lepsza sytuacja aniżeli w tym samym czasie na Śląsku. Obliczenia wskazują, że za całoroczną produkcję żyta w 1856 r. brutto mógł kupić lubliniecki rolnik 3,5 ha ziemi. Pamiętać musimy, że zrobić tego i tak nie mógł, bo nasi rolnicy ponad 90 % swojej produkcji konsumowali sami. Chodzi tutaj też o rolnika, który posiada normalne, czyli minium siedmio- i półhektarowe gospodarstwo!

Tymczasem w Ameryce, będąc nawet obiektem niesłychanego wyzysku, opłacało się emigrantowi wziąć pożyczkę na kupno ziemi i być niemal pewnym, że się ją spłaci! W niektórych przypadkach można było liczyć nawet na darmowe przekazanie ziemi przez władze. (Ładomirska, 1966: 275). Jak natomiast wyglądały ceny ziemi w Teksasie w stosunku do zarobków zwykłych ludzi w połowie wieku XIX? Poganiacz bydlą w Teksasie zarabiał miesięcznie od 40 do 100 dolarów. Służba na farmach amerykańskich dawała zarobek od 20 do 30 dolarów miesięcznie (plus wyżywienie). Pracujący sklepach mogli otrzymać nawet do 70 dolarów. Czyli rocznie emigrant mógł uzyskać od 240 do 1200 dolarów dochodu. Jest to równowartość od 100 do ponad 600 hektarów gruntu po cenach najniższych oraz od 9,6 ha do 48 hektarów po najwyższych cenach lichwiarskich, jakie zapłacili osadnicy za ziemię w Pannie Marii. Pomimo jednak tej ostatniej okoliczności, porównanie cen jest porażające. Służebna w Teksasie mogła kupić, nawet w najgorszym przypadku, aż trzy razy więcej ziemi po cenie najbardziej lichwiarskiej, aniżeli pełnorolny chłop w ówczesnym powiecie lublinieckim po cenie normalnej!

Ojciec Moczygemba, wychowany w chłopskim etosie i kulcie ziemi, zauważył szansę wynikającą z różnicy cen i dostępności gruntu. Fundamentem więc decyzji o wyjazdach za morze było stare chłopskie marzenie – marzenie o własnym gospodarstwie i dostatku. Wynikało to również z poczucia braku nadziei na możliwość poprawy własnego bytu tu, na miejscu. Ta ostatnia refleksja tworzyła grunt

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 11

GÓRNOŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY CD.

psychologiczny, na który padło posłanie franciszkanina i na którym wyrósł ów emigracyjny entuzjazm.

Tak oto nadzieja na poprawę losu na emigracji oraz jej brak w stosunku do warunków miejscowych, spowodowały ów skok za ocean, w nieznaną, kilku tysięcy ludzi z Górnego Śląska. Przyjrzyjmy się bliżej niektórym aspektom sytuacji na ziemi lublinieckiej i przez to w pewnej mierze na całym Górnym Śląsku w okresie młodości przyszłych emigrantów.

Lata dwudzieste i trzydzieste XIX w., gdy większość przyszłych śląskich tekszańczyków była jeszcze dziećmi, stanowiły okres największej rewolucji w dziejach, jaka miała miejsce w życiu lublinieckich chłopów – byli oni od kilkunastu lat ludźmi wolnymi (po dekrete październikowym z 1807 r.). Od lat 1811–1816 dokonywało się także uwłaszczenie. Paradoksalnie te obydwie procesy – emancypacji prawnej chłopstwa i uwłaszczenia, przejściowo bardziej pogorszyły pozycję ludności wiejskiej, aniżeli poprawiły. Dlaczegoż tak się stało? Po pierwsze – nadanie osobistej wolności bez prawa do własności i majątku czyni swobodę wyboru iluzoryczną.

Drugim problemem był sposób przeprowadzenia uwłaszczenia. Faworyzował on dziedziców i zamożnych chłopów, gdyż należało oddać część ziemi lub zapłacić za całość i wykupić się z powinności.

Po trzecie – warunki uwłaszczenia dyktowała komisja regulacyjna, złożona z przychylnych dworowi ludzi, więc wiele drobnych kwestii spornych rozstrzygano na korzyść dawnych właścicieli. Te regulacje wielu chłopom uniemożliwiały realizację marzenia o własnym gospodarstwie.

Po czwarte – chłopci, pozbawieni dotychczasowej opieki pana i wspólnoty, zderzyli się brutalnie z warunkami wolnego rynku np. z wahaniami koniunkturalnymi cen, amoralnym systemem ubezpieczeniowo-pożyczkowym, itp. Nie byli przygotowani do życia w modernizującym się społeczeństwie. Wskutek tego, nawet jak pokonali trudności uwłaszczeniowe, to miażdżyła ich machina rynkowa. Śladem tego zjawiska są liczne prasowe informacje o licytacjach gospodarstw. To naprawdę były dramaty! Dlatego też część chłopów opuszczała rodzinne strony i szukała zatrudnienia w powstającym właśnie przemyśle. Jednakże w latach dwudziestych i trzydziestych XIX w. była to wciąż jeszcze sytuacja nieczęsta. Większość jednak wieśniaków, pracując na własnym, małym areale, dorabiała jako robotnicy dniówkowi. W powiecie lublinieckim ponad 900 gospodarstw miało obszar mniejszy lub równy pięciu morgom! Z tego wyżyć nie było sposobu. Ludzie ci nie tylko nie mieli pieniędzy na kupno dodatkowego pola. Jeszcze inni, dawni chałupnicy i komornicy, zupełnie niezdolni do usamodzielnienia się i zdobycia ziemi, wegetowali na wsi, zatrudniając się dorywczo u bogatszych sąsiadów lub w powstających, wielkich majątkach obszarniczych. Nędza była powszechna. Dzisiaj jeszcze, lektura jej opisów w pismach Wilhelma Wolffa, czy Rudolfa Virchowa wciąż jeszcze jest przygnębiającym doświadczeniem (por. W. Długoborski, K. Popiołek, 1957: s. 93–104). Jakby tego mało było, lata przed Wiosną Ludów (1848), to czasy zarazy ziemniaczanej i epidemii tyfusu. Śmierć zbierała obfite żniwo. W 1854 roku nastąpiły wielkie opady deszczu i powódzie. Zrozumiałe jest, wynikało z tych uwarunkowań poczucie braku perspektyw. Taki zaś stan umysłu stał się znakomitą pożywką dla popularności i przyjmowania za prawdziwe, wieści o ziemskim rajach z darmową rolą od *amerykańskiego króla* (Brożek, 1977: 19).

Dlatego pewnie, we wrześniu 1854 r., pierwsza grupa 150 Górnoślązaków pochodząca z Płużnicy (w tym bracia ojca Leopolda), Kielczy, Świbia, Toszka udała się w nieznaną.

Z Wrocławia udali się do Bremy skąd statkiem *Weser* udali się do teksaskiego portu Galveston. Podróż przez ocean trwała od 75 do 90 dni. O szczegółach morskiej podróży w połowie XIX w. informuje nas uczestniczka tego rejsu, ośmioletnia naówczas, Constantina Pyka z Kamienia Śląskiego (ur.1846), podróżująca wraz z rodzicami:

Każdy dzień podobny był do następnego, a nocą wokół nas panowała śmiertelna cisza. Mama, jak wielu innych, cierpiała bardzo na chorobę morską. Trzech naszych przyjaciół z grupy zmarło w czasie drogi i pochowani zostali według morskiego zwyczaju. Ciała owinięte w brezentowe płótno z doczepionym balastem wrzucano za burtę. Każdy taki pogrzeb bardzo przeżywałam, gdyż bałam się ryb, które jedzą ciała zmarłych (Śląscy Tekszańczycy I, 2004, 154).

Lublinieccy tekszańczycy wyjechali w drugiej i trzeciej grupie emigrantów, wiosną i jesienią 1855 r. W wymienionym roku nastąpił szczyt fali emigracyjnej z Górnego Śląska do Ameryki. Andrzej Brożek pisze o 700 osobach wyjeżdżających w tym roku. Wśród nich był molniański parobek Caspar Kasprzik. Wsiadł na statek *Archimedes* w Hamburgu i odpłynął z żoną i córkami do Liverpoolu. W Anglii znalazł się dnia 19 kwietnia. Wraz z Kasprzikami emigrowali: małżeństwo Jakuba Pruskiego z Głównicz i Ewy Blech z Jeżowej, Tomasz Świerc (przyszły uczestnik wojny secesyjnej w armii konfederackiej) z żoną Marią Wiatrek z Boronowa, Jan Warzecha z żoną Małgorzatą Kuczka z Biebrzynnika k. Opola. Przypuszczając należy, że i familia Kolendów z Jeżowej (Dominik i jego żona Zofia Pietruchowa, urodzona zresztą w Molnej) także znajdowała się na pokładzie *Archimedes*a. Towarzystwo to w Liverpoolu przesiadło się na kolejny statek. Był to ośmioletni kliper amerykańskiego towarzystwa przewozowego *Black Ball* pod nazwą *Isaac Wright*. Na oceanie zmarła trzyletnia córka Kasprzików Anka i znalazła miejsce spoczynku w odmętach Atlantyku. Kiedy i jak dotarli oni do Teksasu, nie wiemy.

Po zejściu na ląd w Teksasie podróżnicy musieli pokonać ok. 400 km przestrzeni lądowej. Wg wspomnianej relacji Constantiny Pyki, ta część podróży odbywała się etapami. Pierwszy wiodł wzdłuż brzegu Zatoki Meksykańskiej z Galveston pod Huston do Indianoli. Był to imponujący odcinek – 246 kilometrów. Niemal tyle ile z Lublińca do Warszawy! Następnie wyruszano do miejscowości Victoria – 63 kilometrów z Indianoli (prawie jak z Lublińca do Katowic). Z Victorii do Panny Marii mieli podróżnicy do przejścia 109 km. Część drogi pokonywali pieszo, część wozami o wielkich kołach, zaprzężonymi w woły, ale *Radości nie było końca, gdy w końcu dotarliśmy do kresu naszej wędrówki* – wspominała Constantina (tamże).

Po drodze wędrowano przez ziemie zamieszkane przez Indian z plemienia Karankawa, Tonkawa i Coahuil-Tecans (na ich terytorium powstała Panna Maria). Na obszary śląskiego osadnictwa w Teksasie wyprawiali się także Apacze Lipan i odleglejsi Komancze. Pykowa wspominała w 1922 r.: *Liczni Indianie, jak słyszeliśmy, zapuszczali się w te strony (...) i jak przekonaliśmy się wkrótce zawitali i do nas. Wtedy właśnie bardzo chcieliśmy być w powrocie w Polsce, gdzie takie niebezpieczeństwa na nas nie czyhały. Ponieważ nie mieliśmy wystarczających środków na powrót postanowiliśmy pozostać. (...) wiele smutnych wydarzeń miało miejsce w tamtym czasie, między innymi dlatego, że Indianie napadali na nas często i kradli konie....* (tamże).

Napady indiańskie miały miejsce po kilku miesiącach od przybycia do Panny Marii i okolic. Początek pobytu w tym miejscu zbiegł się także z niesłychaną suszą w regionie. Nieznane warunki klimatyczne i glebowe, niebezpieczna fauna

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 12

(głównie węże), choroby, nieprzyjazne otoczenie społeczne (starzy osadnicy i Indianie) przeraziły początkowo podróżników. Rozczarowanie było ogromne – zamiast krainy mlekiem i miodem płynącej górnośląscy chłopi wylądowali w pustynnych wręcz regionach porośniętych kaktusami, kolczastymi akacjami i trawą wysoką *na chłopa*, tak że się widzieć nie mogli, gdy dotarli na miejsce, gdzie powstała Panna Maria. Szybko okazało się też, że w miejscu planowanej osady znajduje się teren łągowy grzechotników.

Skala rozczarowania była tak wielka, że zwróciła się przeciw ojcu Moczygembie, którego chciano zlinczować za sprowadzenie na biednych osadników takiego nieszczęścia. Franciszkanin opuścił wtedy Pannę Marię i Ślązaków na zawsze (por. Brożek, 1972: 28). Nie pomogło to osadnikom, których zmartwieniem w następnych latach stali się biali Amerykanie. Stosunki z nimi były bardzo złe. W trakcie wojny secesyjnej, a szczególnie zaraz po niej, dokonywali ataków z bronią w ręku na górnośląską ludność np. bili bez powodu, strzelali na postrach, grozili linczem. Ksiądz Adolf Bakanowski, ówczesny proboszcz z Panny Marii nazywa miejscowych teksańczyków dzikim ludem (por. tamże: 105 i nast.). Okres niepewności i niebezpieczeństw trwał aż do początku lat siedemdziesiątych XIX w. Dopiero po interwencji gubernatora Daviesa i kawalerii federalnej napady ustały. Zapanowały względny porządek i bezpieczeństwo.

Wszyscy nowi przybysze zamieszkali początkowo w hrabstwie Karnes, w Pannie Marii, gdzie pierwsza grupa zdołała przetrwać zimę i rozpoczęła jako takie życie. Część powędrowała dalej i osiadła w miejscowości Bandera w hrabstwie o tej samej nazwie. Powoli powstawały też inne: St. Hedwig, Cestohowa, Kosciuszko, Yorktown, Falls City. Łącznie przy udziale górnośląskich osadników, lub wyłącznie dzięki nim, powstało w okolicy San Antonio szesnaście osad.

Bardzo bolesnym przeżyciem dla emigrantów była wspomniana wojna secesyjna. Autorzy podejmujący temat osadnictwa polskich Górnoślązaków w Teksasie wśród przyczyn wyschodźstwa wymieniają chęć uniknięcia służby w wojsku pruskim. Paradoksem dla nich stało się, że uchodząc przed tym „niebezpieczeństwem”, wpadli w jeszcze gorsze – większość z nich musiała wyruszyć w nowym kraju na wojnę. Osadnicy śląscy nie byli zwolennikami niewolnictwa, ale po ogłoszeniu poboru, dla uniknięcia szykan, sami zgłaszali się do wojska lub, tytułem obowiązku służby, do armii konfederackiej ich powoływano. Wspomniany Jesse Kasprzik z Molnej, zgłosił się ochotniczo do kompanii Zwiadowców Konnych w 29. Brygadzie Kawalerii Armii Stanu Teksas. Później służył w 24. Brygadzie Kawalerii Stanowej. Wiadomo, że wojska stanowe powołano w charakterze obrony terytorialnej do obrony granic (obawy przed desantem federalistów), przed napadami Indian oraz powstrzymania bandytyzmu i ewentualnych powstań murzyńskich niewolników. Czasami włączano je do armii konfederackiej i uczestniczyły one w regularnych walkach z armią Unii. Te miały miejsce w Luizjanie, a w Teksasie w okolicach Galveston. W hrabstwie Karnes sformowano sześć kompanii, wśród nich jedną nazywano *Panna Maria Grays* (od koloru mundurów armii Południa). Jak podają znawcy tematu w jednostce tej, wbrew nazwie, większość stanowili anglosascy teksańczycy, a nie mieszkańcy Panny Marii. Oprócz Jesse'go Kasprzika w wojskach konfederackich służyli m.in. wywodzący się z ziemi lublinieckiej Aleksander Dziuk, syn pochodzącego z Koszęcina Jana Dziuka, Tomasz Świerc z Boronowa, urodzeni także w Boronowie Karol Korzekwa, Jan Kotara i Karol Winkler, Antoni Wyglondacz z Ligoty Dobrodzieńskiej. Kto chciałby

jednak drążyć ten wątek ma do dyspozycji dziesiątki amerykańskich i polskich stron www dotyczących wojny secesyjnej i udziału w niej wojsk stanu Teksas. Polecam także informacje z opracowań Lindsaya T. Bakera (zob. bibliografia).

Gdy w dniu 25 czerwca 1865 roku gwiazdzysty sztandar Unii załopotał w Austin, stolicy stanu, śląscy weterani powrócili do domów. Po wojnie rozpoczął się wspomniany, trwający kilka lat, trudny okres odbudowy pokoju wewnętrznego. Osadnicy złożyli przysięgę lojalności oraz przyjęli obywatelstwo amerykańskie. Poprawiać się zaczęła ich sytuacja materialna. Np. opisywany Kaspar vel Jesse Kasprzik posiadał w 1868 r. 50 akrów ziemi (ok. 20 hektarów) o wartości 400 dolarów, miał 5 koni wartych 100 dolarów, 100 sztuk bydła za 300 dolarów oraz inne dobra warte kolejnych 180 dolarów! Łącznie jego majątek oszacowano na 980 dolarów. Sama ilość inwentarza uczyniłaby go w ojczyźnie niesłychanym bogaczem! W czasie, gdy wyjeżdżał do Ameryki w całej Jeżowej hodowano 191 sztuk bydła, a w Molnej 233 sztuki (Triest, 1865: 450). W 1880 r. Jesse Kasprzik hodował 420 owiec na swojej ziemi oraz około 200 jagniąt. Miał z nich 520 funtów wełny rocznie (ok. 235 kg), 100 funtów masła (nieco powyżej 45 kg). Ponadto z ziemi uzyskiwał 200 korców kukurydzy (7040 kg), 28 korców pszenicy (985,6 kg). Dochody pozwoliły Jessemu Kasprzikowi na ufundowanie wraz z innymi kościoła św. Krzyża w Yorktown. Być może wtedy, na wieść o pomyślności Jessego, dołączył do niego brat Józef z rodziną. Gdy Kaspar Jesse zmarł gazeta *Nordheim View* zamieściła nekrolog:

O 8.04 wieczorem w piątek 1 lipca 1910 r. zmarł Pan Jesse B. Kasprzik urodzony 4 stycznia 1824 r. (księga urodzeń z Sierakowa podaje 1 stycznia 1826 – przyp. A.B.) w wieku 86 lat, sześciu miesięcy i 27 dni. Pogrzeb J. B. Kasprzika odbędzie się o 3.30 tego popołudnia na katolickim cmentarzu w Yorktown (Teksas). Przyjaciele i członkowie rodziny będą mile widziani na tej uroczystości.

Yorktown, 2 lipca 1910.

Na pogrzebie obecni byli: brat Jessego Joseph, żona w podeszłym wieku, dwóch synów, 28 wnuków i 14 prawnuków – *Pożegnać go przyszło bardzo wiele osób, nie tylko miejscowych przyjaciół i krewnych, a przyszli dłatego, ponieważ Pan Kasprzik był osobą dobrze znaną, cenioną i szanowaną* – pisał *Nordheim View* dzień po odprowadzeniu Kasprzika na cmentarz. (*Śląscy Teksańczycy II*, 2009: 90 i nast.). Na amerykańskiej ziemi przeżył Jesse 55 lat. Osiągnął, co chciał? Chyba tak. Nekrolog i wykaz dóbr o tym świadczą. Okres adaptacji trwał kilkanaście lat, ale po nim wszyscy osadnicy osiągnęli względny dobrobyt. Opisując społeczność śląskich emigrantów w 1920 r., sekretarz polskiego konsulatu pisze, że obejmuje ona 3427 rodzin i od 17 do 19 tysięcy osób. Możemy przypuszczać, że znaczna ich część to potomkowie owych emigrantów z pięciu powiatów rejencji opolskiej z połowy XIX w. Posiadają oni – pisał dalej sekretarz konsula – średnio po 200 akrów ziemi (80 ha), uprawiają bawełnę, kukurydzę, pszenicę, hodują bydło. Nieliczni, głównie mieszkańcy miast, zajmują się handlem rzemiosłem i usługami. Są to bardzo pobożni ludzie, rozsądni i myślący (Brożek, 1977: 155 i nast.). Uciekli przed biedą i ciężkim losem, przejściowo popadli w równie wielkie kłopoty, ale dzięki wytrwałości i pracowitości osiągnęli życiowy sukces.

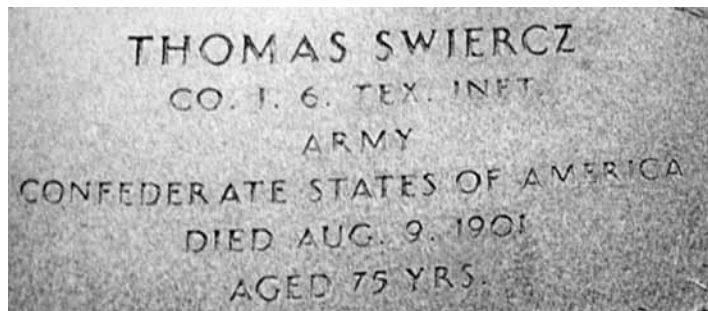
**WYKAZ EMIGRANTÓW GÓRNOŚLĄSKICH W TEKSASIE
POCHODZĄCYCH Z ZIEMI LUBLINIECKIEJ
POTWIERDZONYCH NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ
HISTORYCZNYCH (ŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY I,
2004 I ŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY II, 2007)**

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 13

GÓRNOŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY CD.

GMINA BORONÓW

1. **Paweł Banduch (1832–1898)** z Boronowa (Zolka) i **Agata Walentek (1833–1906)**. Opuścili Boronów najwcześniej po październiku 1855 r. Zamieszkali w Pannie Marii. Prowadzili gospodarstwo z dużym sadem i winnicą. Mieli 10-cioro dzieci. W tym jedno urodzone jeszcze na Śląsku. Zachowały się ich nagrobki.
2. **Antoni Korzekwa (1815–1879)** i **Józefa Wiatrek (1824–1911)** z Boronowa. Wyjechali ze Śląska po roku 1854 wraz z czworgiem dzieci. W 1879 r. wdowa po Antonim – Józefa posiadała kilkaset akrów ziemi uprawiała bawełnę i indiańską kukurydzę. Żywy inwentarz wart był 400 dolarów. Zachowały się nagrobki małżeństwa Korzekwów w Cestohowie.
3. **Jan Kotara (1829–1892)** i **Agata Winkler (1834–1914)** z Boronowa. Wyjechali z synem do Panny Marii. W czasie wojny secesyjnej John Kotara służył w wojskach stanowych w obwodach nadgranicznych. Po zakupie ziemi przenieśli się do Cestohowy. Tutaj oboje znaleźli wieczny spoczynek. O zamożności Kotarów świadczyć może fakt nabycia w 1867 roku ziemi za 1500 dolarów.
4. **Franciszek Mzyk (1803–1868)** i **Agnieszka Wiatrek (1808–1896)** z Boronowa. Opuścili Boronów ok. 1855 r. z dwójką swoich pozostałych przy życiu dzieci. Dość szybko wzbogacanie się Mzyków przerwała śmierć Franciszka. Wdowa zamieszkała u swojego syna Franka, który był właścicielem czyszczarni bawełny i naczelnikiem poczty w Cestohowie. Na tamtejszym cmentarzu zachowały się nagrobki Mzyków.
5. **Tomasz Świerc (1826–1901)** i **Maria Wiatrek (1826–1901)** z Boronowa. Wyjechali z rodzinnych stron wczesną wiosną 1855 r. Osiedli pierwotnie w Pannie Marii, ale już po roku 1857 widzimy ich w miejscowości Washington, w hrabstwie Gasconade, w stanie Missouri, by po kolejnych dwóch latach znowu wrócić do Panny Marii. Thomas w czasie wojny secesyjnej przez kilka miesięcy służył w szóstym regimencie piechoty teksańskiej w armii Skonfederowanych Stanów Ameryki. W 1871 r. posiadał 100 akrów ziemi w miejscowości St. Hedwig (hrabstwo Bexar). Tomasz w 1894 r. zamieszkał w Domu Konfederaty w Austin, gdzie zmarł. Zachował się jego nagrobek jako weterana armii Południa.



Nagrobek Tomasza Świerca

6. **Wawrzyniec Wiatrek (1819–1883)** i **Józefa Korzekwa (1826–1906)** z Boronowa. W chwili wyjazdu (ok. 1855 r.) pozostało przy życiu dwoje z pięciorga ich dzieci. Początkowo mieszkali w Pannie Marii, później w Cestohowie. W 1880 r. mieli 235 akrów nieużytków oraz 15 akrów ziemi uprawnej za 250 dolarów i inwentarz wart 100 kolejnych dolarów.
7. **Karol Winkler (1827–1890)** i **Karolina Wiatrek (1821–1902)** z Boronowa. Wyjechali w 1856 roku wraz z trojgiem dzieci. Zamieszkali w Teksasie w Pannie Marii, a później

w hrabstwie Wilson, ale do parafii należeli w St. Hedwig. W czasie wojny secesyjnej Wawrzyniec (już Lawrence) służył w 29 brygadzie wojsk stanu Teksas. Po wojnie kupił za 400 dolarów 200 akrów ziemi. W końcu lat siedemdziesiątych mieli wóz za 40 dolarów, tyleż warte 2 konie, 35 sztuk bydła za 175 dolarów i 15 świń.

GMINA CIASNA

1. **Kaspar Kasprzik (1826–1910)** i **Maria Zieleńska (1829–1913)** z Molnej. Wypłynęli z Anglii w kwietniu 1855 r. wraz z dwójką dzieci (jedno zmarło w podróży). Osiedli początkowo w Pannie Marii a później w Yorktown, w hrabstwie DeWitt. Posiadali tam w 1880 r. majątek w postaci 420 owiec, 200 jagniąt, 5 koni, 100 sztuk bydła i 50 akrów ziemi. Kaspar w czasie wojny secesyjnej służył w wojskach stanowych jako zwiadowca (29 brygada) i później w 24 brygadzie Armii Stanu Teksas. Wiadomo też z nekrologu Jessego, że do USA wyjechał także jego brat Józef.
2. **Dominik Kolenda (1814–1892)** z Jeżowej i **Józefa Pietrucha (1819–1896)** z Molnej. Wyjechali razem z Kasprzikami w towarzystwie czwórki dzieci. Zamieszkali w Pannie Marii, a później w nieodległej Cestohowie. W 1876 roku byli posiadaczami 220 akrów ziemi nad rzeką Cibolo Creek.
3. **Ewa Blech (1828–1893)** pochodząca z Jeżowej małżonka Jakuba Pruskiego z Główczyca (zob. gmina Dobrodzień).
4. **Anna Kaczmarek (1837–1924)** z Sierakowa, żona Józefa Dupnika ze Starych Karmonek (1835–1890). Najprawdopodobniej wyprawiła się tam z rodzicami ok. 1855 r. wyszła za Józefa dopiero w Pannie Marii. Być może jest ona spokrewniona z Pawłem Kaczmarkiem (1829 – 1896) z Łomnicy, który wyjechał w 1855 r.

GMINA KOSZĘCIN

1. **Jan Dziuk (1806–1886)** pochodził z Koszęcina. Żoną jego była Joanna Wilczek z Sarnowa (1809 – 1869)). Początkowo mieszkali w Płużnicy (od czasu ślubu w 1832 r.). Wyjechali w październiku 1855 r. wraz z czworgiem pozostałych przy życiu dzieci (wcześniej zmarło im pięcioro). W Teksasie osiedlili się w Pannie Marii. Jan był kowalem. Ich majątek w roku 1860 wart był 850 dolarów (w tym trzy konie, 12 krów, 8 wołów, 40 sztuk bydła mięsnego).

GMINA DOBRODZIEŃ

1. **Józef Bednorz (1829–1912)** i **Józefa Brzezina (1829–1867)**. Mieszkali w Myślinie, Kolejce oraz w hrabstwach Victoria i DeWitt. Wyjechali z synem w 1856 roku (3 osoby). W 1860 mieli już dom. W 1862 kupili ziemię. Po śmierci Józefa Bednorz pojął za żonę Konstantyne Bombę Gordon (wdowę) z Paczyny (1841–1874), która wraz ze swoją rodziną opuściła Śląsk w październiku 1855 r. Po jej śmierci Józef kupił za 500 dolarów 190 akrów ziemi w okolicy Coletto Creek. Hodował 25 jagniąt, i 70 owiec, uprawiał słodkie ziemniaki, kukurydzę i drzewka owocowe. Jego majątek w 1880 r. wart był 1500 dolarów. Zmarł w Yorktown u swojego syna.
2. **Franciszek Dyla (1831–1902)** z Zębowic i **Turzy** oraz **Maria Pawlik (1830–1917)** z Turzy. Wyjechali w kwietniu 1856 r. z dwójką dzieci. Mieszkali w St. Hedwig (hrabstwo Bexar). W 1860 r. kupili od innego Ślązaka ziemię za 180 dolarów 40 akrów ziemi. W 1871 r. Dylowie dokupili następne 248 akrów. Hodowali bydło, uprawiali kukurydzę, pszenicę i bawełnę. Produkowali masło, jaja i miód.

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 14

Rozśpiewany Lublinitz 1910 roku

W 1911 roku ukazała się w Lublińcu publikacja pt. „Der Landbote. Lublinitzer Kreiskalender für das Jahr 1911”, wydana przez drukarnię Braci Böhm w Katowicach. W jednym z artykułów nauczyciel o nazwisku Puff opisuje XIX Zjazd Górnośląskich Kół Śpiewaczych w Lublińcu. Tekst napisany w patetycznym tonie podkreśla znaczenie śpiewu dla ludu górnośląskiego i państwa pruskiego, w ramach którego znajdował się cały Śląsk. Godne uwagi są opisy miasta, przebiegu uroczystości i nastrojów panujących podczas tego święta. Artykuł przedstawiamy Państwu w całości, dzięki tłumaczeniu **Krystyny Bul**. Ukazuje on nasze miasto i jego mieszkańców świętujących ponad 100 lat temu. Myślę, że artykuł nie zostanie odebrany jako tęsknota za tamtymi czasami, a jedynie jako źródło poznawcze naszej lokalnej historii.

XIX GÓRNOŚLĄSKIE ŚWIĘTO KÓŁ ŚPIEWACZYCH W LUBLIŃCU W DNIACH 25–26 CZERWCA 1910 ROKU

MOTTO: „WIERNE NASZE SERCE – WOLNE NASZE SŁOWA NIEMIECKI NASZ ŚPIEW – BÓG NAS ZACHOWA”

/REKTOR PUFF/

To było nasze hasło do obchodów w dniach 25–26.06.1910 r. Święta Kół Śpiewaczych w Lublińcu. Święto zostało bardzo starannie przygotowane, według opinii uczestników: *piękniej i lepiej nie szło*. W maju 1910 roku Męskie Koło Śpiewacze w Lublińcu obchodziło swoje 50-lecie istnienia. Z tego też powodu Zjazd Delegatów Górnośląskich Kół Śpiewaczych uchwalił, że święto to będzie obchodzone

w Lublińcu. Aby wszystko wypadło jak najlepiej, koła w Lublińcu rozpoczęły staranne przygotowania. W sobotę 25. czerwca pociągiem specjalnym przyjechały pierwsze Kola Śpiewacze, które zostały w hali dworca kolejowego przywitane głośnym „Szczęść Boże!” przez tutejszych śpiewaków. Radość była wielka, przy dźwiękach muzyki pochod ruszył

Opr. Andrzej Musioł • CD. NA STR. 15

GÓRNOŚLĄSCY TEKSAŃCZYCY CD.

3. Walenty Anioł, ur. w 1825 r. w Dańcu, ochrzczony w Rozmierzy, zamieszkały w Dańcu, Dobrozdzeniu i St. Hedwig, hrabstwo Bexar (Teksas), zm. w 1895 r. w St. Hedwig i **Józefa Membel (Mendla) z Dobrozdzenia**, ur. w 1829 r., zm. w 1913 r. w St. Hedwig. Wyjechali w październiku 1855 r. Wraz z nimi ich czworo dzieci. W Ameryce posiadali 40 akrów ziemi, konia i 16 sztuk bydła. Majątek wart 211 dolarów (1866).
4. **Franciszka Rozwadowska (1845–1925)** z Myśliń, żona Alberta Kozuba ze Świbia. Wyjechała jako dziecko jesienią 1855 r. W 1863 r. wyszła za Alberta. W 1867 r. mieli z mężem 50 sztuk bydła. Niestety, Albert został zamordowany w 1870 r. Wówczas miała wdowa 200 do 300 sztuk bydła wartego 500 dolarów! Franciszka po przeprowadzce do San Antonio wyszła za Franka Knappika.
5. **Jakub Pruski (1828–1896)** z Główczy i Ewa Blech z Jeżowej (1828–1893). Mieszkali w Główczycach. Wyjechali z synem wiosną 1855 r. Osiedli w hrabstwie Karnes. Już w 1862 roku posiadali 30 koni i 28 sztuk bydła. Ok. 1865 r. przeprowadzili się do Coletto Creek w hrabstwie DeWitt. Posiadana tam farma miała wraz z inwentarzem wartość 1400 dolarów.
6. **Sebastian Rozwadowski (1814–1894)** z Rzędowic i **Maria Kotyś-Wittek z Myśliń** (1817–1898). Mieszkali w Myślińcu. Wyjechali w październiku 1855 r. wraz z siedmiorgiem dzieci. Osiedli początkowo w okolicach San Antonio, a potem na wsi, w hrabstwie Bexar. Posiadali w 1880 r. farmę o wielkości 80 akrów.
7. **Antoni Wyglondacz (1831–1872)** z Ligoty Dobrozdzieńskiej i **Franciszka Posmyk (1833–1901)** z Szemrowic. Wyjechali w 1855 r. i zamieszkali najpierw w Pannie Marii, potem w San Antonio, gdzie już w 1858 r. kupili dom. Antoni był murarzem. Następnie rodzina kupiła 160 akrów ziemi w hrabstwie Atascosa. W czasie wojny Antoni służył w wojskach terytorialnych stanu Teksas (kompania hrabstwa Atascosa kapitana Johna Toma). Po śmierci Antoniego Franciszka wyszła za męża za Antoniego Pykę z Kamienia

Śląskiego (1824–1897) i żyła z nim w San Antonio, gdzie mieli dwa domy i sklep.

8. **Ludwik Zajac (1825–1885)**, rolnik z Dobrozdzenia, mieszkał w Teksasie w St. Hedwig (hrabstwo Karnes) i **Franciszka Anioł (1827–1899)** z Ligoty Dobrozdzieńskiej i Rzędowic. Wyjechali z dwoma synami. Mieszkali w Martinez Creek i St. Hedwig w hrabstwie Bexar. W ich posiadłości powstał tamtejszy Kościół. W 1867 r. posiadali 80 akrów ziemi, konia i 10 sztuk bydła wartych łącznie 165 dolarów.

BIBLIOGRAFIA (WYBÓR):

- Brożek Andrzej, *Ślązacy w Teksasie. Relacje o najstarszych osadach polskich w Ameryce*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa-Wrocław.
- Brożek A., *Polonia amerykańska 1854–1939*. Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1977.
- Baker Lindsay T., *The early history of Panna Maria*. Texas Tech Press: Lubbock, Texas 1975.
- Baker Lindsay T., *The first Polish Americans: Silesian Settlements in Texas*. Texas University Press, London 1979.
- Baker Lindsay T., *The reverend Leopold Moczygomba patriarch of Polonia. Polish American Studies*. Vol. 41, No. 1. University of Illinois Press on behalf of the Polish American Historical Association: Spring, 1984.
- Długoborski Waclaw, Popiołek Kazimierz, *Śląsk w I poł. XIX [w]. T. I. Śląsk w latach 1806-1847. Wybór źródeł*. Zakład Narodowy Ossolińskich, Wrocław 1957.
- Ładomska Joanna, *Z dziejów śląskiej emigracji do Ameryki*. „Studia Śląskie” X. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1966.
- Popiołek Kazimierz, Mieczysław Suchocki, Seweryn Wysłouch, Stanisława Zajchowska, *Górny Śląsk*. Instytut Zachodni, Poznań 1959.
- Śląscy Teksańczycy: emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1852–1859. *Silesian Profiles Committee*. Wyd. Świętego Krzyża, Opole 2004.
- Śląscy Teksańczycy II: emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1853–1870. *Silesian Profiles Committee*. Wyd. Świętego Krzyża, Opole 2007.
- Triest Felix, *Topographisches Handbuch von Oberschlesien*. Wilhelm Gottlieb Korn Verlag, Braşlau 1865.
- Popiołek Kazimierz, Mieczysław Suchocki, Seweryn Wysłouch, Stanisława Zajchowska, *Górny Śląsk*. Instytut Zachodni, Poznań 1959.

Arkadiusz Baron

ROZŚPIEWANY LUBLINITZ CD.

w stronę Domu Powiatowego (Starostwo), gdzie pozostawiono do przechowania flagi. Następnie pochód, składający się nie tylko z Kół Śpiewaczych, ruszył w stronę miasta. Każdy dom był przyozdobiony zielenią i chorągwiami. Ludzie z okien wołali okrzyki powitania. Gdy korowód znalazł się na rynku, zachwyty uczestników nad dekoracją nie miał końca. Wloty czterech ulic prowadzących na rynek tworzyły bramy z girlandami, herbami, draperiami (dekoracyjna tkanina zebrana w ozdobne fałdy) i świeżą zielenią. Nad każdą z tych bram widniał napis – jedno zdanie wyjęte z w/w motta. Dwa olbrzymie drzewa rosnące na rynku służyły jako tło dla tam ustawionej sceny. Wystrój rynku był wspaniały, oświetlenie elektryczne było wystarczające, ale też oczekiwano wspaniałych występów. Wieczorem o godz. 20:30 rozpoczął się pierwszy koncert wokalno-wokalny w wykonaniu orkiestry 63. Pułku Piechoty oraz bratnich towarzystw. Część wokalną pod dyrekcją chórmistrza pana Pohler, rozpoczął chór męski pieśnią: „Szumcie, szumcie niemieckie dęby” przy akompaniamencie orkiestry i wielkim aplauzie. Rektor Puff, jako członek Zarządu Lublinieckich Kół Śpiewaczych, przywitał wszystkich uczestników, wyrażając przy tym nadzieję, że Święto Śpiewacze potwierdzi, że Górnoślązacy są wierni niemieckiej pieśni, niemieckim tradycjom oraz miłości do niemieckiej ojczyzny. Wznoszono radosne okrzyki na cześć cesarza Wilhelma II, który jest protektorem męskich Kół Śpiewaczych. Po odśpiewaniu hymnu narodowego na podium wkroczył Królewski Lekarz Powiatowy Dr Frey – przewodniczący Grupy „Lubliniec – wschodniemieckich Towarzystw Śpiewaczych”, który nawiązując do przeszłości mówił o znaczeniu kół śpiewaczych w trudnych czasach, w których znacząco ożywiały codzienność. Lublinieckie Towarzystwo Śpiewacze uhonorowano nagrodą w postaci portretu Staroego Kanclerza Rzeszy – kowala niemieckiej jedności (Otto von Bismarck). Wystąpienie kończyły okrzyki radości zgromadzonego tłumu. Następnie Koła po kolei przedstawiały swój repertuar aż do późnego wieczora. Około godz. 23:30 zakończono występy. Uczestnicy przeniesli się do hoteli, które wszystkie były położone przy rynku, tam nadal świętowano. W niedzielę przybywały pociągami następne Koła Śpiewacze. O godz. 11:00 na rynku koncertowała kapela Huty Zawadzkie. W tym czasie w Sali „Strzelnica” odbywały się próby generalne zjednoczonych chórów pod dyrekcją chórmistrza, nauczyciela pana Anlauf-Zalenze. Znawcy muzyki, którzy byli słuchaczami tych prób byli zachwyceni przepięknym śpiewem oraz dyrygentem, który był bardzo miłym, ale wymagającym człowiekiem. Wszyscy uczestnicy „Święta” ze smutkiem spoglądali w okna, za którymi deszcz lał strumieniami. W trzech salach hotelowych biesiadnicy także obawiali się, że deszcz nie pozwoli na dalsze świętowanie. Nareszcie się przejaśniło i wszyscy uczestnicy zebraли się obok zamku skąd uroczysty pochód ruszył na rynek. Uczestnikom pochodu rozdano 50 chorągwi, aby pochód składający się z 67. Towarzystw Śpiewaczych nabrał uroczystej oprawy. Cztery udekorowane wozy z napisami brały udział, jednym z nich był wóz katolickich czeladników i mistrzów na którym był napis: „Niech Bóg błogosławi chwalebne rzemiosło”. Pochód składający się z około 2500 osób, dotarł wreszcie na rynek, gdzie ustawił się w półkole przed trybuną. Na powitanie chór odśpiewał pieśń pt: „Witajcie”, której tekst ułożył p. Baranek z Lublińca, a muzykę skomponował p. Kraus z Olesna. Pan Burmistrz Jönscher w imieniu Miasta powitał uczestników, dziękował za wspaniały śpiew, który przyświeca wszystkiemu, co szlachetne



Okolicznościowa pocztówka humorystyczna przedstawiająca ówczesne kłopoty z noclegiem oraz windowanie ich cen.



Spitze des Festzuges.
(Heroldsgesellschaft. Historische Gruppe des Kriegervereins.)

W głębi brama powitalna u wlotu dzisiejszej ul. Edyty Stein, po prawej stronie Selter Fabrik (dzisiejsza „Kometa”).

w niemieckim narodzie. Ksiądz Proboszcz Majewski, jako członek zarządu Kół Śpiewaczych, wygłosił wspaniałą mowę o wierności, wolności, śpiewie Bogu nawiązując do w/w motta. W porywających słowach potrafił wytworzyć porywającą atmosferę, dlatego też mowę często przerywano aplauzem i okrzykami. Pan rektor Arndt z Siemianowic udekorował jubileuszowy sztandar (50-lecia) dwoma złotymi wiankami ze wstążkami a w drzewiec wbite pamiątkowe gwoździe. Królewski Starosta, Pan Dr von Thaler, podziękował wszystkim szanownym mówcom i uczestnikom i zapewniał o naszej gorącej sympatii. Przewodniczący Związków Śpiewaczych poświęcił dwa nowe sztandary z Kół w Lisowie i Bytomiu. Po rozwinięciu tych sztandarów i ich pokłonów 2000 uczestników odśpiewało swój hymn Kół Śpiewaczych. Ponownie ustawiono się w pochód, który maszerował do Sedanpark (park Grunwaldzki), gdzie nadal śpiewano i świętowano. Ten radosny pochód na długo pozostanie w pamięci lublińczan, którzy godnie przyjęli gości. Niestety, niebo nie było łaskawe i przybyłych do parku powitał znów rzęsisty deszcz. Śpiewacy i ich nuty przemoły, ale wszyscy dzielnie na miejscach i ochno śpiewali. To świętowanie dało okazję do bliższego poznania pięknej sztuki śpiewania a śpiewakom radość do dalszego doskonalenia śpiewu i udziału w konkursach.

Opr. Andrzej Musioł

Historia linii kolejowej Lubliniec-Fosowskie z „Pendolino” w tle

W roku 2011 ówczesny minister transportu Sławomir Nowak podjął decyzję o remoncie tzw. prostej koniecpolskiej, odkładając na późniejszy czas budowę Kolei Dużej Prędkości, co doraźnie miało zapewnić najszybsze połączenie Warszawy z Wrocławiem. Decyzja ta okazała się dobrym rozwiązaniem dla mocno wyeksploatowanych linii kolejowych przebiegających przez powiat lubliniecki. Wielki remont zakończył się w grudniu 2014 i oto na naszych torach pojawiło się *Pendolino*.

Najwolniejszym odcinkiem (dopuszczalna prędkość to tylko 100 km/h), który pokonuje ten pociąg jest 24 kilometrowa linia Lubliniec-Fosowskie. Ponieważ w ubiegłym roku obchodziła ona 120-lecie otwarcia, warto przypomnieć jej historię.

Uruchomienie drugorzędnej, jednotorowej linii kolejowej miało miejsce 10 października 1894 roku. Połączyła ona dwa węzły kolejowe: istniejącą od 1858 stacją *Vossowska* (Fosowskie) ze stacją *Lublinitz*. Nowa trasa była przedłużeniem otwartej dwa lata wcześniej linii z Lublińca do granicznej stacji Herby, skracając drogę w stronę Opola.

W celu obniżenia kosztów budowy trasa została dostosowana do warunków terenowych z licznymi zakrętami i przejazdami w poziomie szyn (pierwszy i jedyny wiadukt nad torami powstał w czasie budowy obwodnicy Lublińca w 2001 roku).

Na 24 kilometrowym odcinku otwarto trzy stacje: Pludry (*Pluder*), Pawonków (*Pawonkau*) oraz Lipie. Na każdej stacji zbudowano podobny drewniany dworzec (do dziś zachował się tylko jeden w Pludrach) oraz murowany budynek mieszkalny dla pracowników kolei. Dla zabezpieczenia

nkau O.-S.



Rozebrany w 1939 roku dworzec Pawonków.



Mapka z 1894 roku z zatwierdzonym przebiegiem linii.

skrzyżowania z wąskotorową koleją konną (tzw. *Rosbanką*), w lesie przed Fosowskim zbudowano dom strażnika kolejowego (*Bahnwarter*). Jedyny większy obiekt inżynierijny to most na Bzinińce w Pludrach.

Rozkład jazdy z 1905 roku przewidywał po cztery pociągi w relacji Lubliniec-Fosowskie (przejazd zajmował około godzinę) oraz jedną parę relacji Opole-Herby. Ciekawostką jest fakt, że pociąg ten prowadził bezpośrednie wagony do i z Berlina.

Od 1903 roku w Herbach była możliwość przesiadki do rosyjskiego wąskotorowego pociągu w kierunku Częstochowy, skąd można było dostać się do Warszawy. Jedno z najszybszych połączeń przewidywało, że pasażer, który wsiadł do pociągu w Lublińcu o 8.10 na Dworzec Wiedeński w Warszawie dotarł już po dziewięciu godzinach – o 17.12!

W roku 1922 linia została przedzielona polsko-niemiecką granicą państwową, przecinającą tory na zachodnim krańcu stacji Pawonków, która podobnie jak Pludry stała się stacją graniczną.

W latach 1922–37, w czasie obowiązywania Konwencji Górnośląskiej z 1922 roku, na dworcu Pawonków odbywała się wspólna, polska i niemiecka rewizja celna



Drewniany dworzec z roku 1894 w Pludrach (stan na rok 2008).



Przejazd Pendolino przez stację Pawonków.

i kontrola paszportowa dla ruchu osobowego i bagażowego. Po jej wygaśnięciu obie stacje graniczne rozbudowano. W Pludrach do drewnianej części dworca dobudowano w 1937 roku część murowaną wraz z magazynem. W Pawonkowie w 1939 rozebrano stary dworzec, zaś budowę nowego gmachu dokończyli Niemcy w czasie II wojny światowej.

Od początku istnienia panował tu ruch lokalny w krótkich relacjach. Pierwsze pociągi pospieszne relacji Opole-Częstochowa uruchomiono w 1944 roku. Duża zmiana w tej materii nastąpiła po 1945 roku, kiedy to pojawiły się pociągi dalekobieżne łączące Warszawę z różnymi miastami na krańcach tzw. ziem odzyskanych. W 1947 był to Żagań, później Bogatynia, Zgorzelec, Szklarska Poręba.

Rok 1976 przyniósł elektryfikację: z linii znikają parowozy (głównie OKI 27).

W roku 1987, po prawie dwudziestu latach starań ze strony mieszkańców Lisowic, zamknięto zdegradowaną już na początku lat 80-tych do roli przystanku dawną stację Lipie Śląskie. Przystanek przeniesiono do Lisowic, gdzie w czynie społecznym zbudowano peron. Był to powrót do pierwotnych planów, które zmieniono krótko przed budową linii, co w następujący sposób opisał *KATOLIK* nr 94 z 1891 roku: „Wedle początkowego planu miała być w Lisowicach urządzona stacja linii kolejowej z Lublińca do Wossowskiej. Teraz zaś ma kolej zatrzymywać się nie w Lisowicach tylko w Lubecku*, a to ze względu na różne przedsiębiorstwa, kopalnie, kamieniołomy w okolicy” (*Lipie Śląskie było wówczas częścią Lubecka).

Na przełomie lat 60/70 na trasie zaczął kursować pociąg ekspresowy *Opolanin*, który rano jechał w kierunku Warszawy, wieczorem zapewniał powrót. Ostatni przed elektryfikacją rozkład jazdy z 1975 przewidywał trzy i półgodzinny czas przejazdu z Lublińca do stolicy: odjazd 5.57, a przyjazd do Warszawy 9.32, z 15 minutowym postojem w Częstochowie na zamianę trakcji. Pomimo, że linia z Lublińca do Częstochowy była zelektryfikowana już w 1972 roku, dopiero tam wymieniano parowóz na elektrowóz.

Na początku lat 90-tych pojawił się jeszcze drugi ekspres – *Panorama*. Wtedy też po raz pierwszy oba ekspresy skierowano z Częstochowy na Centralną Magistralę Kolejową. Tym sposobem kursowały trasą, którą dziś jeździ *Pendolino*. W 1994 roku ich rozkładowy czas przejazdu z Lublińca do Warszawy wynosił 2 godziny i 55 minut.

Pogarszający się stan torów remontowanych ostatni raz w 1986 roku, spowodował powolne wycofywanie pociągów z linii (ekspresy przestały tu kursować w 2002 roku).



Pociąg towarowy w Lublińcu na trudnym podejściu w stronę Lipia Śl.

31 V 2012 trasę pokonuje ostatni pociąg osobowy. Pomimo obietnic, że po remoncie pociągi wrócą na te piękne, nowiutkie perony, stan taki trwa, niestety, do dziś.

Kasę i dworzec w Pawonkowie, z powodu malejącej liczby podróżnych, zamknięto już na początku lat 90-tych. W Pludrach stało się to z końcem 2009 roku.

Linia kolejowa to nie tylko przewóz osób. Do połowy XX wieku był to jedyny, pewny i szybki transport towarów na duże odległości, a także rozwój gospodarczy miejscowości ze stacją kolejową – nie inaczej było i tutaj.

W Pludrach krótko po uruchomieniu kolei powstał zakład chemicznej przeróbki drewna o specjalności: ocet drzewny i smoła. W 1928 roku powstała istniejąca do dziś duża nasycalnia podkładów kolejowych. W Pawonkowie, w połowie lat 20-tych, na południu od stacji utworzono duży plac przeładunkowy. Do roku 1966 dowożono tu koleją wąskotorową drzewo z kośmiderskich lasów. W Lipiu kolej obsługiwała bocznicę wapiennika, kamieniołomu oraz powstała tu w latach 30-tych duża cegielnia.

Największą ingerencję w przebieg linii zaplanowały okupacyjne władze niemieckie, zaś prace rozpoczęto w 1942 roku. Z okolic obecnego wiaduktu lublinieckiej obwodnicy w Lipiu, tory miały być skierowane w kierunku Steblowa. Plany zakładały, by początkowo biegły one wykopem dochodzącym miejscami do 5 metrów głębokości, następnie wspinały się nasypem do wysokości ponad 7 metrów i ostatecznie przez dwa wiadukty nad drogą i torami, łagodnym łukiem, bezkolizyjnie włączały się do stacji. Nowe podejście do stacji Lubliniec miało wyeliminować uciążliwy podjazd w kierunku Lipia, który w „czasach pary” dla ciężkich pociągów towarowych wymagał stosowania lokomotywy popychającej. Przerwana budowa, pomimo ukończenia prac ziemnych i przyczółków wiadukto- w, nigdy nie została dokończona. Powoli z krajobrazu znikają też jej ślady.

Gdyby wojenna inwestycja zastała ukończona, wytrącono by jeden z argumentów za mocno przereklamowaną potrzebą postoju *Pendolino* w Lublińcu. Pociąg nie zwalniał by bowiem tak jak dziś, kiedy ma do pokonania rozjazdy i ostry zakręt, do 40 km/h.

Sumując, „efekt *Pendolino*” trzeba ocenić bardzo pozytywnie. Linia na Fosowskie w swej historii nigdy nie przeżywała tak wielkiego natężenia ruchu ekspresowego. Wyremontowana stacja Lubliniec zyskała dużo połączeń w ciekawych relacjach, o bardzo atrakcyjnych czasach przejazdu oraz pociąg klasy *Intercity premium*, który drogę do stolicy pokonuje w dwie i pół godziny.

A. Koza

„Rektorzy” naszych prapra... pradziadków

W bieżącym roku dokładnie mija 181 lat od chwili, gdy w oficynie wydawniczej Henryka Richtera, mieszczącej się domu nr 51, przy wrocławskim Rynku, ukazała się specyficzna w swoim rodzaju *Księga Adresowa (Adressbuch des sammtlichen Lehrer-Standes aller Confessionen und aller Grabe in Schlesien, Glaz und Lausitz / aufgenommen und herausgegeben von Friedrich Mehwald. Breslau 1834.)*. Specyficzna, bo pokrótce charakteryzowała ona wszystkich, niezależnie od wyznania, pracujących na Śląsku, w hrabstwie kłodzkim oraz w Łużycach, nauczycieli. Autorem jej był Fryderyk Mehwald, redaktor *Księgi Adresowej Wrocławia, Śląskiej Gazety Muzycznej* oraz *Breslauer Lokalblatt*.

Pomiędzy dziesiątkami ówczesnych śląskich powiatów znajduje się także i nasz lubliniecki powiat, w całej swej od kilkuset lat terytorialnej krasie, z okolicą Dobrodzienia i obszarem dzisiejszych Kalet włącznie.

Autor naprzód w sposób lakoniczny scharakteryzował nasz powiat, który ówczesnie liczył: 31.261 mieszkańców, spośród których 29.439 było katolikami, 1.023 ewangelikami, zaś 799 było wyznania Mojżeszowego. Językiem morawskim posługiwało się wtedy 10 mieszkańców powiatu, niemieckim 2.387, zaś pozostałych 28.864 osób mową określaną jako polską. Dzieci szkolnych poniżej 14 roku życia było 12.821, spośród których 6.566 to chłopcy, zaś dziewczynki było 6.255.

Kilkutysięczną „armię” ówczesnych „zoków”, czyli uczniów, w arkana sylabizowania jak i rachowania wprowadzali ówczesni rektorzy:

- Boronów – L. Ohl, organista i nauczyciel, katolik, 18 lat
- Brusiek – F. Chudowsky, nauczyciel, katolik, 6 lat
- Bzinica – J. Pichen, nauczyciel, katolik, 6 ½ roku
- Cieszowa – C. Michnik, nauczyciel, katolik, 17 lat
- Dobrodzień – J. Nowack, rektor, katolik, 22 lata
Th(eodor) Glumb, 2 nauczyciel, katolik 4 ¼ roku
J. S. Lewi, Żyd
- Droniowice – J. Hawlitzka, nauczyciel, katolik, 16 lat
- Głowczyce – Ch(ristian) Bartocha, nauczyciel, katolik, 14 lat
- Gwoździany – F. Schubert, nauczyciel, katolik, 8 lat
- Jeżowa – F. Arlt, nauczyciel, katolik, 9 lat
- Kochanowice – G. Kauder, nauczyciel, katolik, 16 lat
- Kochcice – F. Sonczek, nauczyciel, katolik, 23 lata
- Kokotek – F. Myllek, nauczyciel, katolik, 18 lat
- Koszęcin – C. Fritz, nauczyciel, katolik, 7 lat
- F(ran)z Bittner, adjuwant, katolik, 2 lata
- Kośmidry – C. Sczuretzky, nauczyciel, 51 lat
- Ligota Dobrodzieńska – A. Bryllka, nauczyciel, katolik 23 lata
- Ligota Woźnicka – F. Grzegorz, nauczyciel, katolik, 22 lata
- Lisowice – J. Staben, nauczyciel, katolik, 9 lat
- Lisów – F. Janitzek, nauczyciel, katolik, 29 lat

- Lubecko – C. Schubert, organista i nauczyciel, katolik, 29 lat
- Lubliniec – C. Taschka, rektor, katolik, 22 lata
P. Rendschmidt, organista i 2 nauczyciel, katolik, 12 lat
C. Sabisch, 3 nauczyciel, katolik, 5 lat
Thilo, nauczyciel, Żyd
- Lubsza – Józef Lompa, organista i nauczyciel, katolik, 16 lat
- Łagiewniki Wielkie – L. Michnik, nauczyciel, katolik, 42 lata
- Łany – C. Gernoth, nauczyciel, katolik, 14 lat
- Molna (Neuhof= Mollna) – F. Gladosch, nauczyciel, katolik, 24 lata
- Olszyna – Ph(ilip) Krupa, nauczyciel, katolik, 19 lat
- Panoszowy – A. Binek, nauczyciel, katolik, 4 lata
- Pawonków – Th(eodor) Schembor, organista i nauczyciel, katolik, 43 lata
- Piasek – C. F. Altmann, organista i nauczyciel, ewangelik, lat 20
- Pludry – J. Kandziora, nauczyciel, katolik, 7 lat
- Psary – J. Hadrossek, nauczyciel, 3 lata
- Rusinowice – J. Schmeia, nauczyciel, katolik, 12 lat
- Sadów – L. Vogt, organista i nauczyciel, katolik, 25 lat
- Sieraków – Joh(ann) Kozyrowsky, organista i nauczyciel, katolik, 14 lat
- Strzebiń (Trzebien) – C. Hadrossek, nauczyciel, katolik, 5 ½ roku
- Szemrowice – Jos(ef) Kozyrowsky, organista i nauczyciel, katolik, 45 lat
- Wędzina – G. Mazander, nauczyciel, katolik, 5 lat
- Woźniki – F. Langner, 1 nauczyciel, katolik, 30 lat
Buetner, 2 nauczyciel, katolik
- Zborowskie – J. Skowronek, nauczyciel, katolik, 8 lat
- Zielona – M. Recha, nauczyciel, katolik, 16 lat

Nadzór nad szkolnictwem ewangelickim sprawowała Superintendentura, która znajdowała się w odległej Pszczyźnie. Pełniący podobne obowiązki inspektorat szkolny dla katolickich szkół ludowych mieścił się w Dobrodzieniu, a to z racji siedziby ówczesnego inspektora szkolnego, którym był ks. Janetzko. Dodać należy, że wcześniej siedziba inspektoratu szkolnego na powiat lubliniecki mieściła się w Lubszy, z racji pełnienia urzędu inspektora szkolnego przez ks. Antoniego Kłoska, proboszcza w Lubszy a zarazem dziekana lublinieckiego.

Dziś, po z górą 180 latach, obraz szkolnictwa naszego powiatu uległ przeogromnej zmianie. Tam, gdzie dawniej były pełne uczniowskiego „żywego srebra” obiekty, pozostały tylko wspomnienia, anegdoty, czasem nieliczne pożółkłe starościami fotografie, ukazujące rozradowane buzie beztroskiej szkolnej dziatwy sprzed lat.

Bernard Szczech

Tablice pamiątkowe Ziemi Lublinieckiej (III)



Lubliniecka Trasa Śródmiejska, nazwana Aleją Solidarności, została oddana do użytku 28 października 2009 roku. Nowa ulica, przebiegająca pomiędzy rondami Jana Pawła II, ks. Jerzego Popiełuszki oraz Władysława Opolczyka, usprawniła ruch samochodowy w centrum miasta. Jej otwarciu towarzyszyło odsłonięcie kamienia wraz z pamiątkową tablicą. Znajduje się na niej fragment homilii Ojca Świętego Jana Pawła II wygłoszonej w 1987 roku w Gdańsku podczas Mszy świętej dla świata ludzi pracy. Sama tablica upamiętnia przemiany demokratyczne zapoczątkowane w 1989 roku przez tzw. obrady okrągłego stołu, w których brała udział opozycja solidarnościowa z Lechem Wałęsą na czele.



Tablica pamiątkowa znajdująca się na budynku dworca przypomina o uzyskaniu przez Lubliniec pierwszego połączenia kolejowego. Przebiegająca przez miasto trasa kolei żelaznej wiodła od Tarnowskich Gór przez Kalety, Lubliniec, Olesno Śląskie do Kluczborka. W dniu 15 października 1884 roku uroczyste obchodzono odjazd z miasta dwóch pociągów: o godzinie 9.50 do Kluczborka i o 11.00 do Tarnowskich Gór. Na potrzeby podróżnych zbudowano również budynek dworca. Dzięki tej linii możliwy był dojazd do najważniejszych miast zarówno Dolnego jak i Górnego Śląska. Kolejne połączenia kolejowe, w tym w stronę Królestwa Polskiego przez stację Herby Pruskie, umożliwiły szybki rozwój miasta i ułatwiły komunikację jego mieszkańcom.

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych tablic pamiątkowych w Lublińcu, umieszczona na gmachu Starostwa Powiatowego, upamiętnia pobyt w tym budynku oraz w mieście Józefa Piłsudskiego. Odsłonięto ją w 1999 roku. Lubliniec był w 1922 roku jednym z miast, które marszałek odwiedził podczas wizyty na Górnym Śląsku, przyłączonym wówczas niedawno do Polski. Uroczystego powitania dokonał



Budynek pierwszego dworca kolejowego w Lublińcu

w dniu 26 sierpnia 1922 roku w Herbach wojewoda śląski Józef Rymer. Następnie marszałek pociągiem z salonką przejechał do Lublińca. W mieście odznaczył, wraz przybyłym z nim generałem Stanisławem Szeptyckim, który uroczyste wraz z oddziałami wojska polskiego wkraczał na Górny Śląsk, zasłużonych powstańców śląskich. Order *Virtuti Militari* odebrali m. in.: Alfons Zgrzebniok, dowódca II Powstania Śląskiego, Jan Ludyga-Laskowski, zastępca Wojciecha Korfantego w III Powstaniu Śląskim oraz Paweł Golaś, przywódca tego powstania w powiecie lublinieckim. Natomiast Krzyżem Walecznych odznaczono około pięćdziesięciu powstańców z powiatów lublinieckiego i tarnogórskiego. Józef Piłsudski odebrał również defiladę wojskową, która wiodła przez ówczesną ulicę Zamkową, dziś noszącą nazwę Józefa Piłsudskiego, oraz wziął udział we Mszy polowej. Następnie zjadł obiad w budynku starostwa i ruszył samochodem odwiedzić kolejne miasta. Marszałek wrócił wieczorem do Lublińca i pociągiem ruszył do Katowic. Na Górnym Śląsku przebywał do 28 sierpnia 1922 roku.

Sebastian Ziółtek



Dobra książka powinna nie tylko bawić, ale także uczyć

Z JERZYM MIOŚGĄ (UR. 1972) LUBLINIECKIM LITERATEM,
AUTOREM KSIĄŻEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY, ROZMAWIA EDWARD PRZEBIERACZ



E.P. (Edward Przebieracz) Jurku, jak to się stało, że zostałeś pisarzem?

J.M. (Jerzy Miosga) Szczerze mówiąc nie uważam się za pisarza, bo pisarz to ten, kto z pisania utrzymuje się, ja na co dzień wykonuję inny zawód, daleki od literatury. Od dzieciństwa zawsze lubiłem czytać książki, a pierwszą moją fascynacją literacką były „Muminki”. Nie pamiętam, ile dokładnie miałem lat, ale także w dzieciństwie, założyłem sobie zeszyt własnej twórczości pt. „Przygody króliczka”, w którym ilustracje były dużo większe od zapisanego tekstu, ale proporcje te nie były ważne, bo to była przecież moja książka, w ramach żartu... Jeśli natomiast chodzi o genezę powstania moich dorosłych już powieści to przyznaję, że nie tyle chciałem zabić czas, co zrobić coś pożytecznego dla siebie, co pozwoliło by mi się wyciszyć. I robiłem to też z myślą o moich córkach. Agata z Zuzią były nie tylko pierwszymi czytelniczkami i recenzentkami mojego pisania, ale same zachęcały mnie do pisania podsuwając swoje różne pomysły na ciąg dalszy opowieści. Moim zadaniem było tylko wyobrazić córek zmodyfikować literacko, by różne luźno rzuczone przez nie postaci i wydarzenia miały sens. Pisząc pisałem dla siebie i dla córek, nie miałem jakichś górnołotnych ambicji czy planów literackich. I tak przy pomocy córek pisałem aż uzbierało się tomisko...

E.P. Twoje dwie książki: „Tajemnica ginącego lasu” i „Tajemnica ginącego lasu – dlaczego ja?” o przygodach czwórki nastoletnich przyjaciół klasyfikują się dość wysoko w tzw. literaturze z przesłaniem, przekazują bowiem istotne zwłaszcza dla życia młodego człowieka wartości przyjaźni, koleżeństwa, uczyć odróżniać dobro od zła. Co starałeś się jeszcze przekazać w swych powieściach nastoletnim czytelnikom?

J.M. Pisząc pierwszą część nie wiedziałem, że będzie następna... Zawsze hołubiłem wartościom katolickim, dlatego nic dziwnego, że w swych książkach promuję dobro i pozytywne wzorce osobowe, uczę szlachetnych zachowań, jak na przykład zdolności do poświęceń, uwrażliwiam na problemy ekologii. Uważam, że książka powinna bawić, ale powinna też uczyć. To są dwie bardzo ważne funkcje książki, zwłaszcza w przypadku młodego czytelnika, bo jeśli młody czytelnik zacznie od dobrej literatury to w przyszłości jako dorosły też będzie sięgał po dobrą literaturę, nie będzie zadawała się byle czym.

E.P. Czy główny bohater Twych powieści – Tomek, to Ty? Czy przedstawiony przez Ciebie baśniowy świat i jego postaci ma jakiegokolwiek odwzorowanie w rzeczywistości?

J.M. Nie, nie ma odwzorowania. To jest wszystko autentyczna fikcja. Owszem, niektóre postaci, niektóre fakty, mogą mieć jakieś większe czy mniejsze zakotwiczenie w moim dzieciństwie, ale tak naprawdę źródłem i natchnieniem do pisania powieści była moja wyobraźnia.

E.P. Gdzie można dzisiaj zamówić, kupić książki Twojego autorstwa?

J.M. Na pewno poprzez internet, w EMPiK-u, w niektórych księgarniach.

E.P. Czy będzie kolejna książka z serii „Tajemnica ginącego lasu”?

J.M. Tak naprawdę mam dosyć dużo jej napisanej, właściwie mogę nawet powiedzieć, że jest już skończona. Chcę jednak jeszcze nad nią popracować, uważam bowiem, że zbyt szybko przesadziłem z jej zakończeniem. Moim zdaniem finał powieści jest za bardzo tragiczny, a na książkę dla dzieci i młodzieży należy troszkę inaczej patrzeć, bardziej optymistycznie... Równocześnie piszę też książkę dla dorosłych. Proces twórczy zawsze przebiega u mnie powoli, ale wynika to z faktu, że piszę tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę.

E.P. Czym dla Ciebie jest twórczość literacka?

J.M. Każdy powinien znaleźć w życiu swoje miejsce. Dla mnie twórczość literacka jest właściwym wypełnieniem sobie wolnego czasu. Zamiast iść na piwo wolę czytać, a jeszcze bardziej: pisać. Piszę dla przyjemności, bez narzuconego przez siebie jakiegoś reżimu twórczego, nie mam presji ze strony wydawcy. Pisanie jest dla mnie jakąś formą terapii, odreagowania od trudów życia codziennego, wyciszeniem się, a zarazem jest przyjemnym zajęciem, frajdą.

E.P. Czy oprócz prozy zajmujesz się inną dziedziną literatury?

J.M. Troszkę pisałem, zwłaszcza wierszyki dla dzieci, czego dowód znaleźć można na mojej stronie internetowej www.jerzymiosga.pl (podstrona „Hobby”). Myślę, że z napisanych przeze mnie wierszy lepsze literacko są te skierowane dla dzieci, te dla dorosłych są bardziej osobiste.

E.P. Oficjalnie jednak przyznajesz się do dwóch swych pasji: literatury i malarstwa. Powiedz coś więcej o tej drugiej.

J.M. Już w młodości dużo malowałem. Miałem zresztą szczęście w tej dziedzinie, bo w Lublińcu żył wtedy znany lokalnie malarz o nazwisku Koloch, którego poznałem dzięki mojej mamie, która była listonoszką. Artysta ten nauczył mnie, chłopca ok. 10-letniego, wielu technicznych związków z malarstwem, np. jak gruntować obraz, jak naciągać płótno, jak mieszać kolory, jak dobierać barwy, itd. Pierwszy namalowany przez siebie obraz sprzedałem mając 12 lat i to wcale nie komuś z rodziny, tylko kupiła go zupełnie obca osoba. To dzięki naukom tego świętej pamięci starszego, schorowanego na astmę człowieka, dziś moje obrazy znajdują się nawet poza Polską, np. w Niemczech, Rosji, czy poza Europą, np. w USA. Dużo obrazów własnych (portrety, np. egipskie, czy pejzaże) jednak nie malowałem, zająłem się reprodukcjami, np. Beksińskiego.

E.P. Pierwszą swą książkę dedykowałeś córkom: Agacie i Zuzannie, drugą swoim rodzicom. Teraz czas na dedykację dla żony... A tak poważnie, powiedz coś więcej o swej rodzinie. Tym bardziej, że jest z nami Twój 2-letni synek Krzysiek, i właśnie bawi się ze mną, albo ja z nim...

J.M. Mam to szczęście od Boga, że mam kochającą żonę Wiolettę, dwie dorosłe córki: Agatę i Zuzannę i obecnego między nami Krzysia. A książkę, tę dla dorosłych, rzeczywiście piszę teraz dla Wioli.

E.P. W rozstrzygniętym w kwietniu br. konkursie literackim dla mieszkańców Lublińca, który zorganizowało prowadzone przeze mnie Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, pt. „Nieznana lubliniecka legenda” zdobyłeś wyróżnienie. Czy nie czułeś się rozczarowany, że nie otrzymałeś nagrody głównej?

Edward Przebieracz • CD. NA STR. 21

WYWIAD CD.

J.M. Nie, nie czuję się rozczarowany. Po pierwsze swe opowiadanie pisałem praktycznie w ostatniej chwili i dosłownie na kolanie, po drugie miałem okazję przeczytać zwycięską legendę pt. „Fałszywy dekret” i naprawdę uważam, że jest świetna. Gratuluję panu Grzegorzowi Kopcowi. Mam nadzieję, że jego droga literacka będzie pełna sukcesów.

E.P. Osobiście uważam, że wy dwaj jesteście przyszłością tej naszej lublinieckiej literatury i wasza wzajemna współpraca w tej materii jest jak najbardziej wskazana. Jestem przekonany, że przyniesie ona wspaniałe owoce w postaci ciekawych książek Waszego autorstwa. Jako poeta spróbuję to zrymować: duet Miosga-Kopiec, może innym literatom dopiec!

Jakich rad możesz udzielić początkującym prozaikom, by – niewątpliwie tak jak Ty – osiągnęli sukces literacki?

J.M. Trzy rzeczy są ważne: 1) nie starać się kogoś naśladować, tylko pisać o tym, co się zna i o tym, co się czuje. Istnieją jakieś naturalne ciągotki, by wzorować się na kimś uznanym, ale nie zawsze to naśladowcy wychodzi na korzyść.

Należy pisać od siebie. Inaczej: lepiej mówić ciszej, ale własnym głosem. 2) Własne teksty poddać nie tylko autocenzurze, ale przede wszystkim ocenie innych, znających się na rzeczy osób, którzy powiedzą prawdę, czy warto pisać, czy jednak powinno się iść w innym kierunku. Autorowi wszystko, co napisze raczej podoba się, jednak powinien on dać swój materiał komuś, kto stoi z boku, by go obiektywnie ocenił. Moi przyjaciele po przeczytaniu mej pierwszej powieści powiedzieli mi, że książka jest ciekawa i że naprawdę warto poszukać wydawcy. Czasami jednak mówią mi wprost: „Jurek, nie nadajesz się do tego typu książek”, co ja z pokorą przyjmuję, bo nie może być każdy we wszystkim super dobry. 3) Jeżeli osoby zaufane, przyjaciele, powiedzą, że książka jest dobra to nie należy zrażać się trudnościami związanymi z szukaniem odpowiedniego wydawcy. Naprawdę dobra książka wcześniej czy później takiego znajdzie. W moim przypadku szukałem wśród wydawców, które wydają książki dla dzieci i młodzieży.

E.P. Dziękuję Ci, Jurku, za udzielony wywiad i za gościnę.

Edward Przebieracz

Lubliniec, 12 VI 2015 (autoryzacja tekstu: 1 VII 2015)

NAJNOWSZA PUBLIKACJA HENRYKA F. SPORONIA

„Zgoda buduje, niezgoda rujnuje”

O Henryku Sporoniu pisałem już na łamach „Ziemi Lublinieckiej” (nr 3/2013) w artykule pt. *Henryk Sporoń podarował bibliotekom 100 książek*, dziękując Mu za bezinteresowny gest dla śląskich bibliotek i dla polskich, i niemieckich archiwów. Wspomniałem wówczas krótko o Jego życiu i twórczości, także o jego związkach z Ziemią Lubliniecką, szczególnie z pracą nauczycielską w Koszęcinie i w Rusinowicach. Dziś, przed zasadniczym tematem, związanym z najnowszą publikacją Autora, przypomnę Czytelnikom bardzo encyklopedycznie Jego biogram:

Rocznik 1926 (89 lat życia) zawód – nauczyciel historii i geografii, wykształcenie – Liceum Pedagogiczne w Tarnowskich Górach i studia pedagogiczne w Warszawie i w Katowicach, pasja – miłość do Śląskiej Małej Ojczyzny, twórczość – publicystyka historyczna (min. „Z rodzinnych stron i na emigracji”, „W poszukiwaniu historycznej prawdy”, „Nowy Dziennik”, „Ulica Wszystkich Świętych” i wiele innych publikacji. Dodajmy jeszcze do tych skrótów biograficznych kilka wątków z trudnego życiorysu pana Henryka. Urodził się na Śląsku i tu ukończył szkołę podstawową przed II wojną światową. W wieku młodzieńczym wcielony do Wehrmachtu, ciężko ranny „cudem” wraca w 1946 roku w rodzinne strony. Kończy szkoły i uczelnie pedagogiczne i pracuje jako nauczyciel. W okresie stanu wojennego internowany i więziony w Katowicach, Jastrzębiu-Zdroju, w Uhercach i w Rzeszowie-Załężu. W 1983 roku wyjechał wraz z rodziną do Niemiec (bez prawa powrotu) i tam zamieszkuje do dzisiaj. Przynajmniej dwa razy w roku przyjeżdża na Śląsk, aby „naładować „akumulatory” intelektu i odwiedzić licznych znajomych i – coraz mniej licznych – krewniaków.

Powyższy akapit mówi o ciężkim życiu Ślązaków i zagażowanej historii śląskiej krainy, ale także o ważnych przymiotach ludzi tej ziemi, o naszych cechach, których nam zazdroszczą inni – pracowitości, życiu rodzinnym, religijności, a nade wszystko o wielkiej miłości do śląskiego „Heimatu” (termin „Mała Ojczyzna” jest za „mały” i nieadekwatnie tłumaczony, aby ściśle określić ten najpiękniejszy skrawek naszej Ojcowizny).

I teraz – także krótko – o książce Sporonია noszącej tytuł „ZGODA BUDUJE, NIEZGODA RUJNUJE – Polemistom pod rozwagę”. Nie napiszę tu zdania, że może to jest ostatnia książka sędziwego wiekiem (ale tylko wiekiem...) Henryka Franciszka Sporonია. Chociaż mówiąc szczerze wiele wątków tej publikacji wskazuje na pewnego rodzaju „zamknięcie bilansu” i na podsumowanie płodnego pióra. Książka oparta jest głównie na przedrukach najważniejszych wątków z dwóch publikacji: „Z rodzinnych stron i na emigracji” oraz „W poszukiwaniu historycznej prawdy”. Autor napisał w Przedmowie min.: „Wybrałem z tych pozycji te teksty; listy, recenzje, felietony, które mają coś wspólnego ze Śląskiem. To znaczy dotyczą jego przeszłości, teraźniejszości, a czasem i życzeń dotyczących jego przyszłości”. Co zatem zawiera ta publikacja? Piękna okładka z własnoręcznym (chyba) nakreślonym mapą Górnego Śląska, interesujący „wstęp” i niepowtarzalny, w wielu przypadkach niedościgniony i nie stosowany przez innych autorów styl i teksty składające się z niezliczonych wątków tematycznych, unikalnych wypowiedzi i treści listów wielce zasłużonych, znanych i uznanych ludzi. Książka jest odzwierciedleniem bogatego życia Autora, Jego błyskotliwości i pięknego języka. Publikacja jest przede wszystkim podręcznikiem dla „zaawansowanych”, jest – moim zdaniem – lekturą dla ludzi pamiętających te dzieje, które Autor przedstawia. Sporoń chce nam to wszystko, co głównie dotyczy Śląska i Ślązaków utrwalić i – tak po cichu, między wierszami, nam powiedzieć: „To jest mój mały testament, który macie nosić w umysłach i sercach i przekazywać następnym pokoleniom”.

Szanowny Panie Henryku, Drogi, Szanowny Przyjacielu: dziękuję Ci za tę książkę. Myślę, że nie jest to ostatnia Pana „Ewangelia” dla Ślązaków. Życzę zatem zdrowia i czekam na następną publikację.

Jan Myrcik

PS. Jeśli – Drogi Czytelniku – chcesz nabyć tę książkę, skontaktuj się z paniami: Joanną Sowa, Lubliniec tel. 34 351 11 51, albo z Krystyną Sowa, Sadow tel. 34 356 13 70.

Koszalin i Kruszwica w Kochanowicach, czyli promocja almanachu papieskiego „2 IV 2005”

W Niedzielę Palmową 29 III 2015 roku w Gminnym Centrum Kultury i Informacji miała miejsce ogólnopolska promocja almanachu, wydanego przez lublinieckie Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, dla uczczenia 10. rocznicy narodzin dla nieba Ojca Świętego Jan Pawła II pt. „2 IV 2005”.

W liczącej 208 stron książce opublikowało swoje prace literackie 53 literatów: 50 z Polski i 3 z zagranicy: Belgii, Kanady i Australii.

Na promocję almanachu przyjechało 20 jego współautorów m.in. z Koszalina, Kostrzyna nad Odrą, Warszawy czy Kruszwicy. Niespodzianką od Wydawnictwa dla współautorów almanachu był fakt, iż książka ukazała się w twardej okładkach. Niespodzianką od gospodarza spotkania, dla wszystkich gości w GCKiI, był poczęstunek z kremówkami papieskimi w roli głównej.

Spotkanie rozpoczął kochanowicki chór „Canzona”, który w sumie zaśpiewał 4 pieśni papieskie.

Gości, w tym współautorów książki, powitali: dyrektor GCKiI w Kochanowicach MAŁGORZATA DERKOWSKA oraz red. EDWARD PRZEBIERACZ z Wydawnictwa św. Macieja Apostoła.

„Wiersz o Wydawnictwie św. Macieja Apostoła”, autorstwa mieszkanki Kochanowic MARI I DZIUK, przeczytała jej koleżanka RÓŻA BARGIEL, ponieważ pani Maria przebywała na rehabilitacji w Krynicy Zdrój.

Red. EDWARD PRZEBIERACZ z Wydawnictwa św. Macieja Apostoła krótko omówił wszystkie 8 do chwili obecnej opracowane przez niego almanachy papieskie.

Korektorka almanachu papieskiego MAŁGORZATA TOMCZYK-JADACH, która przyjechała z Krośnic, dała kilka dobrych rad jak należy pisać, by było dobrze napisane.)

Następnie pani MARIA HENNE, z sąsiednich Kochanic, zauroczyła licznie zebraną publiczność swym pięknym głosem śpiewając 2 pieśni dedykowane św. Janowi Pawłowi II.

W imieniu współautorów almanachu program poetyki dedykowany Janowi Pawłowi II przygotowała i osobiście zaprezentowała literatkę z Warszawy IZABELA ZUBKO.

MIROŚLAW GÓRECKI, poeta i muzyk z Knuruwa,

opracował muzycznie fragmenty poematu Karola Wojtyły „Pieśń o Bogu ukrytym”.

Następnie każdy ze współautorów almanachu wystąpił na scenie przedstawiając siebie, miejscowość skąd przybył, a przede wszystkim prezentując wybrany z almanachu wiersz lub fragment prozy.

Pierwszym współautorem wezwanym na scenę była ELŻBIETA BIELECKA-STEFANAŃSKA zam. Kobyła Góra, woj. dolnośląskie.

Następnie wystąpiła przybyła z Kostrzyna nad Odrą TADEUSZ DZIADOSZ.

Kolejnymi literatami prezentującymi się przed kochanowicką publicznością byli:

- JOANNA GERDES – Lisów k/Lublińca
- JUSTYNA GRABOWSKA – Kruszwica
- BARTŁOMIEJ GRABOWSKI – Kruszwica
- LIDIA JĘDROCHA – Nowiny k/Kielc
- BERNADETA KRAWIEC – Oświęcim
- BARBARA PAWLAK – Myszków
- KRYSZYNA PILECKA – Koszalin
- ELIZA ROZDOBA – Gołęb k/Puław
- LUCYNA SPACZYŃSKA – Lubliniec
- IZABELA ZUBKO – Warszawa
- MAŁGORZATA TOMCZYK-JADACH – Krośnice

Redaktorem technicznym książki była, obecna także na promocji, ANNA BARGIEL – Lubliniec.

Ponad 2 godziny uroczystej promocji minęły jak z bicia strzelił. Żal było się rozstawać...

Do zobaczenia na kolejnej ogólnopolskiej promocji almanachu literackiego!

Zapraszamy w niedzielę 13 września 2015 na godz. 16,00 do Muzeum Pro Memoria Edith Stein w Lublińcu na ogólnopolską promocję książki antymagicznej z serii „Stop magii!” pt. „Piątek, trzynastego”. Będzie antymagicznie!

red. Edward Przebieracz
Wydawnictwo św. Macieja Apostoła



„Ziemia Lubliniecka” w Singapurze

Dziękuję za kwietniowy nr magazynu „Ziemia Lubliniecka”! Od 28 lat mieszkam poza Polską. Na co dzień posługuje się trzema obcymi językami, jednakże mowa polska jest mojemu sercu mowa najbliższą. Od wczesnych lat pasjonuje mnie sztuka i literatura. To właśnie ta pasja – poprzez Konkurs Jednego Wiersza zorganizowany przez lublinieckie Wydawnictwo św. Macieja – doprowadziła mnie do poznania bliżej Ziemi Lublinieckiej.

Inspiracją do napisania wiersza pt. „Okruchy

Otuchy” stała się dla mnie rozmowa z moim siostrzeńcem Aleksandrem Rinaudo i to właśnie jemu dedykowałam ten utwór. Pozdrawiając Ziemię Lublińca przesyłam zdjęcie z polskimi akcentami wyrwanymi prosto z samego serca Singapuru-miasta, a zarazem państwa, w którym mieszkam.

Na zdjęciu widać pomnik Fryderyka Chopina, plakiet pisarza Konrada Korzeniowskiego, a także moją skromną sylwetkę we wnętrzach Singapurskiego Muzeum.

Agnieszka Koltun Colla
Singapur, 2 VI 2015



UWAGA!

Dla pierwszego czytelnika „ZL”, którzy na adres Wydawnictwa św. Macieja Apostoła wydawnictwomacieja@gmail.com nadesłali e-mail o treści „Singapur”, czeka egzemplarz tomiku „Cicha modlitwa nadziei” z w/w wierszem pani Agnieszki.

Literackie grillowanie w Pawełkach



Lucyna Spaczyńska z „Nieznaną lubliniecką legendą” i Grzegorz Kopiec z powieścią „W ramionach”.

Z zaproszenia pana Mirka i jego żony Barbary skorzystali: LUCYNA SPACZYŃSKA, zam. Lubliniec – autorka autobiograficznej powieści „W ramionach”, z mężem; JOANNA GERDES, zam. Lisów – zwyciężczyni „Rajskich Walentynek”; MARIA DZIUK, zam. Kochanowice – autorka bajkowej książki „Tęczowe klocki”, z mężem; KAMIŁA DYMAREK, zam. Tanina – laureatka (wyróżnienie) Powiatowego Konkursu Jednego Wiersza „Ziemia Lubliniecka”, z tatą; JULIĘ KACZMARZYK – gimnazjalistkę z Ciasnej, laureatkę głównej nagrody w Powiatowym Konkursie Jednego Wiersza pt. „Ziemia Lubliniecka”, która przebywała na wycieczce szkolnej na Pomorzu, reprezentowali jej rodzice; GRZEGORZ KOPIEC, zam. Lubliniec – laureat głównej nagrody w konkursie literackim „Nieznaną lubliniecką legendą”, z żoną; RÓŻA BARGIEL, zam. Lubliniec; ANNA BARGIEL, zam. Lubliniec – redaktor techniczny wielu książek Wydawnictwa św. Macieja Apostoła i autor niniejszej informacji – poeta lubliniecki, z żoną i córką.

Pogoda dopisała, humory także, można z ręką na sercu powiedzieć, że literackie spotkanie przebiegało w luźnej, niemal rodzinnej atmosferze. Było coś na ząbek, gospodarze zadbali o kociołek i grill, Wydawnictwo o sernik i napoje. Każdy piszący mógł zaprezentować swą twórczość, przeczytać wiersze, opowiadania czy fragmenty powieści. Z wydarzeń *stricte* literackich odnotować należy, iż Lucyna Spaczyńska pierwszy raz publicznie zaprezentowała się jako poetka, Grzegorz Kopiec przeczytał publikowane w magazynie „Krypta” swe ciekawe opowiadanie pt. „Cztery słonie”, a niżej podpisany zaprezentował po jednym wierszu nieobecnych na spotkaniu, z przyczyn usprawiedliwionych, twórców lublinieckich: URSZULI MIKOŁAJCZYK i SYLWI-NA BEHCICKIEGO.

tekst i zdjęcia: Edward Przebieracz
Lubliniec, 1 VI 2015





Lubliniecki tzw. Mały Rynek kilkakrotnie zmieniał swoją nazwę oraz funkcję. W XIX wieku nazywany był *Entenring* – Kaczy Rynek, lub Rynek Solny, ponieważ służył jako miejsce targowe. W okresie międzywojennym nadano mu nazwę Placu 3 Maja. Następnie funkcjonował jako *Neuring* – Nowy Rynek, a obecnie jest to Plac Mikołaja Kopernika. To tutaj, w dniu 2 maja 1920 roku, miała miejsce polska manifestacja upamiętniająca rocznicę uchwalenia konstytucji z 1791 roku, zaatakowana przez bojówki niemieckie. W 1938 roku uczniowie ówczesnego Liceum im. Adama Mickiewicza powiesili na znajdującej się na placu latarni kukłę Adolfa Hitlera, celem jej spalenia. Akcja ta wywołała interwencję niemieckiego konsulatu. Widoczna obecna ulica Józefa Piłsudskiego nosiła



wcześniej nazwę Zamkowej. Znajdujący się przy rynku kościół pw. św. Mikołaja, który w 1936 roku obchodził 600-lecie powstania, był w przeszłości także świątynią ewangelicką. Zawieszony na kościelnej wieży dzwon św. Urbana, pochodzący z 1534 roku, uniknął podczas I wojny światowej rekwizycji i przetopienia, gdyż uznano go za zabytek. Natomiast budynek probostwa wzniesiono w latach 1824–1825 i później przebudowano, pozbawiając go wejścia od strony ulicy. Nie istnieje również niewielki budynek z dwuspadowym dachem obok probostwa. Obecnie Mały Rynek, wraz ze skwem i znajdującą się na nim rzeźbą upamiętniającą św. Edytę Stein, jest miejscem spotkań lublińczan. Przebiega obok niego również ruchliwe połączenie drogowe.



Budynek, nazywany niegdyś „willą Nolde”, swoją nazwę zawdzięcza mieszkającemu tam majorowi – dowódcy III Batalionu 63 Pułku Piechoty stacjonującego w Lublińcu od 1913 roku. Budynek ten, jak i kilka innych, wzniosła dla żołnierzy spółka budowlana powołana przez lublinieckich przedsiębiorców. Umiejscowiono go przy ówczesnej ulicy *Hohenzollernstrasse*, przemianowanej w 1922 roku na ulicę Jana III Sobieskiego. Kamienica kilkakrotnie zmieniała właścicieli, aż w 1936 roku odkupiło ją Zgromadzenie Sióstr



św. Elżbiety. Siostry Elżbietanki pełniły posługę w lublinieckim szpitalu powiatowym, a ich klasztor funkcjonuje w budynku do dnia dzisiejszego. Na znajdującej się po lewej stronie działce w latach 1928–1929 wzniesiono gmach obecnego Zespołu Szkół nr 1 im. Adama Mickiewicza i umiejscowiono tam również szkolne boisko. Koszary znajdujące się przy końcu ulicy nazwano imieniem Jana III Sobieskiego; stacjonował tam w okresie międzywojennym 74 Górnośląski Pułk Piechoty.

Tekst: Sebastian Ziółek

Zdjęcia: Wojciech Poznański

Zdjęcia archiwalne ze zbiorów Krzysztofa Brzeziny